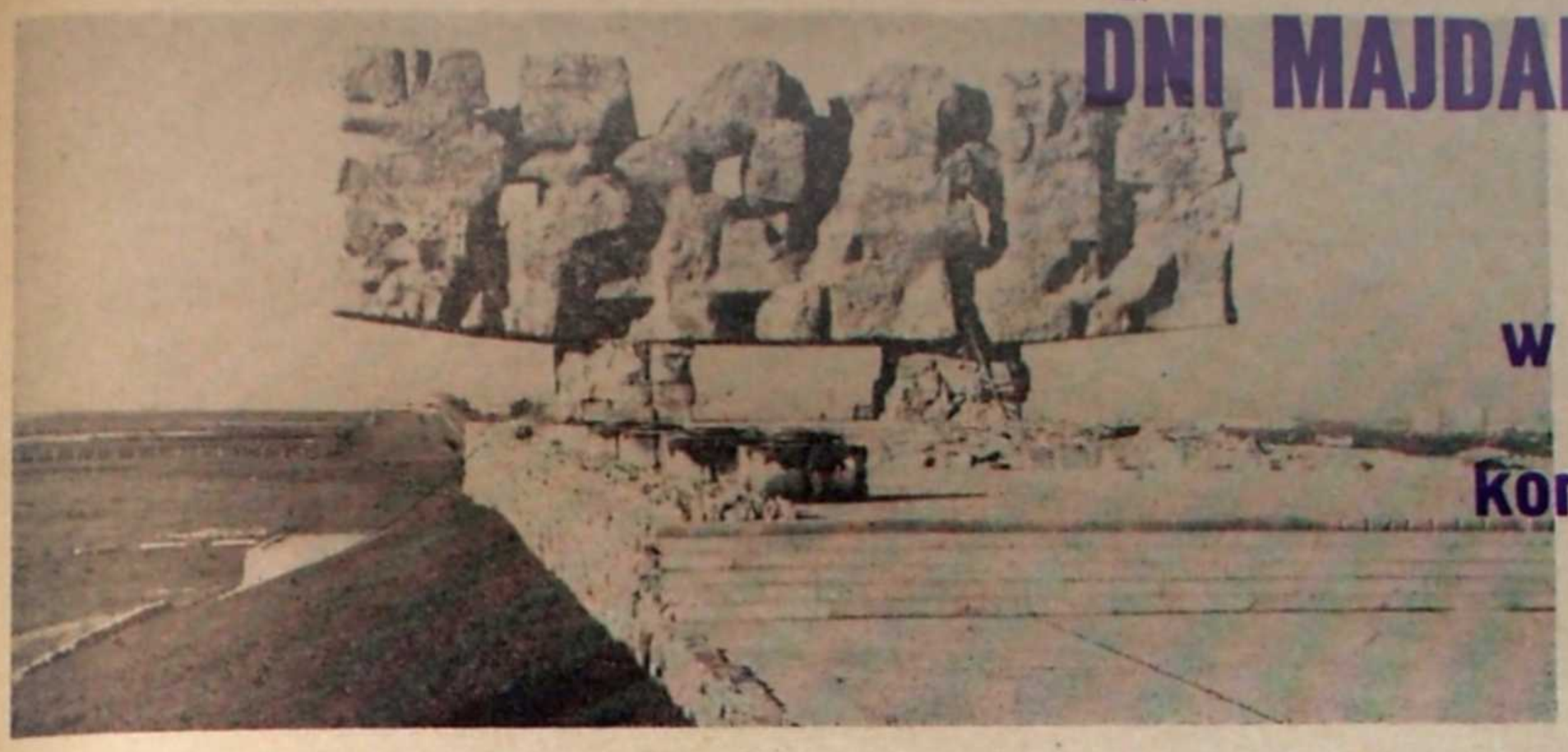

DNI MAJDANKA – 1972

Kobiety w hitlerowskich obozach koncentracyjnych

POD takim właśnie hasłem obchodzimy w tym roku (10—17 września) tradycyjne „Dni Majdanka". Hasło to, towarzyszące wszystkim zaplanowanym we wrześniu imprezom organizowanym przez Radę Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, Towarzystwo Opieki nad Majdankiem oraz Państwowe Muzeum na Majdanku, zostało wybrane wyjątkowo trafnie. Nikt bowiem nie cierpiał w czasie hitlerowskiej okupacji tak, jak właśnie matki i żony, którym odbierano dzieci, mężów, rodziców i rodzeństwo. Czy można oddać słowem rozpacz matki, która nie zdążyła nawet dotknąć noworodka, bo bezpośrednio po porodzie na jej oczach wędrował on do krematoryjnego pieca? A przecież kobiety polskie nie tylko opłakiwały śmierć najbliższych, ale walczyły u boku mężczyzn i w konsekwencji dzieliły ich losy.

Historia II wojny światowej bogata jest w przykłady, które kobiecie polskiej wystawiają najpiękniejsze świadectwo. Wiele nazwisk na trwałe naród uznał za swoje, pod ich patronat oddając setki ulic, placów, instytucji. A ile jest takich cichych, bezimiennych bohaterek?

Mimo że od czasu zakończenia działań wojennych upłynęło sporo lat, stan naszej wiedzy na temat sytuacji i roli kobiet w hitlerowskich obozach koncentracyjnych jest nadal znikomy. Nie jesteśmy nawet w stanie podać przybliżonej liczby więźniarek w skali ogólnej, a przecież nie chodzi tu o dziesiątki, ale o setki tysięcy Polek. Wystarczy przypomnieć, że w samym tylko Oświęcimiu zginęło około 40 000 Polek, prawdopodobnie tyle samo w Ravensbrücku i w Stutthofie. W tych granicach, a więc 35—37 tysięcy według aktualnego stanu badań, szacuje się liczbę kobiet przebywających na Majdanku. O wielu obozach nie mamy nawet najbardziej przybliżonych danych.

Już zatem ta ponura statystyka każe podejmować jeszcze bardziej energiczne kroki, mające na celu ukazanie w możliwie krótkim czasie prawdziwego, wolnego od fałszu, opartego na rzetelnych badaniach źródłowych wizerunku Polki — więźnia obozu zagłady, wizerunku kobiety cierpiącej, ale i walczącej do ostatka.

Nie jest rzeczą możliwą ukazanie wielokierunkowej płaszczyzny walki, jaką prowadziły kobiety z tak przecież zdawałoby się doskonałą niemiecką machiną obozową, trudno też oddać ogrom zbrodni popełnionych na Polkach przez zbrodniarzy spod znaku swastyki, ukazać system kar i szykan, metody uśmiercania, grabież itp. Wybraliśmy zatem jedno z wielu zagadnień, mianowicie próby samoobrony więźniarek Majdanka, by przynajmniej w najogólniejszym zarysie je przedstawić. Na tym bowiem polu miały one wyjątkowo wiele do powiedzenia i na ile innych obozów należą im się słowa szczerego podziwu i uznania. Dlatego też, gdy przenoszono je do innych obozów, zawsze spotykały się z szacunkiem i zaufaniem, powierzano im odpowiedzialne funkcje, ufano, że właśnie one potrafią to zrobić najlepiej. I to jest ich z pewnością bardzo poważny wkład do walki, jaką wspólnie z mężczyznami prowadziły aż do ostatecznego zwycięstwa.

Roman Rosiak

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 10 IX 1972 Nr 19 (504) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Nicowanie kultury

Ireneusz J. Kamiński

PUBLICYSTYKA na temat kultury powiatowej jest rodzajem gawędziarstwa, którym na śmierć można zanudzić czytelników, rozdrażniając zarazem działaczy kultury, którzy jako zawodowy tkwiący na co dzień w sprawie, przytłoczeni drobiazgami rosnącymi z czasem do problemów zasadniczych, w inny sposób oceniają fakty, niż to robią ludzie z zewnątrz, nastawieni „pryncypialnie" i z konieczności goszczący w tzw. terenie od okazji do okazji. Wiadomo przy tym, że na przykład interwencje prasowe w tej pięknej dziedzinie permanentnej improwizacji mają skutek na ogół ograniczony, jakie takie owoce przynosząc w sprawach konkretnych, czego ciepłym jeszcze przykładem niech będzie wiekowa i smutna sprawa muzeum w Tomaszowie, rozwiązana, jak się zdaje, ostatecznie i rozsądnie przez miejscowe władze — po wcześniejszej publikacji prasowej, utrzymanej w tonie alarmującym. Przypadek tomaszowski jest tym godniejszy uwagi, że po raz któryś z rzędu przekonuje o skuteczności zbiorowego działania, uderzającego mocno w sobiepaństwo i partykularyzm, zjawiska tak częste na Lubelszczyźnie, jak zmiany kierowników niektórych Powiatowych Domów Kultury.

Kreślenie zaś syntez, ujmujących całokształt zagadnień kulturalnych danego powiatu, jest zajęciem czysto akademickim, jako że elaboraty te w zasadzie nikomu nie służą, co posiada i swoje dobre strony, albowiem opierając się na sprawozdaniach poszczególnych placówek terenowych, których wątek przetyka się z elementami wizji lokalnej, refleksyjnym pytaniem i taktycznym „niemniej jednak" autora — przenoszą w ludzkie głowy nieścisłości pierwowzorów, powstałe dzięki swoistej metodologii statystycznej, zmierzającej ku lepszej przyszłości. Ostatnio metody te dostały po głowie, lecz nowe, jakby je nazwać — bardziej realistyczne, skonfundowały np. bibliotekarzy gromadzkich, bo okazało się, że wykazują niższy niż dotychczas stopień czytelnictwa. A przecież i wcześniej było wiadome, że skłonność do czytania prasy i książek jest na Lubelszczyźnie znacznie mniejsza od pędu do organizowania festiwali i dni miejscowości.

Chciałoby się zatem zachęcić do większej wstrzemięźliwości w gadaniu o kulturze, tym bardziej, że poza wymienionymi względami jest to czynność mało odkrywcza. Zmieniając daty, jeden i ten sam artykuł np. o klubach wiejskich, napisany w 1969 roku, możemy bez obawy dezaktualizacji treści zamieścić obecnie, a chyba i w roku przyszłym. Kryzys tych placówek, zarysowany cztery lata temu, trwa do dziś, można go obliczyć matematycznie i na oko. Kierownik jednego z powiatowych referatów kultury stwierdza otwarcie, że w większości wypadków kluby pełnią funkcję kiosków z oranżadą, nie ciesząc się ludzkim zainteresowaniem ani szacunkiem. Miały m. in. uczyć dobrych obyczajów, lecz brud i zagracenie kontenerami do butelek, usprawiedliwia i wprost narzuca stroje à la waciak zwyczajny ich bywalców.

Dokończenie na str. 4

Wstęp do lektury Czechowicza

Zygmunt Mikulski

TRUDNO zobiektywizować czytelnicze doznanie poetyckie. Zawsze jest to raczej pokwitowanie odbioru ważne wyłącznie między dostawcą a odbiorcą, aniżeli marka jakości orientująca rynek.

Na czym ta trudność polega? Przede wszystkim na tym, że język, jakiego używa poeta, jest tylko pozornie tym samym, który ma swoje ustalone konwencje w semantyce, leksyce, frazeologii, składni. W rzeczywistości jest to język oparty na nowej próbie porozumienia, na nowym kluczu znaczeń kontaktujących dwie osobowości. Jak nieprzekładalna jest większość idiomów z języka obcego, tak mowie poetyckiej nie można znaleźć ekwiwalentów poza nią, choć wyrazy będą w „tym samym" języku.

Jest to jednak trudność — nazwijmy umownie — formalna: dotyczy płaszczyzny ważnej, ale nie obejmującej całości poetyckiego zjawiska, które sięga w dziedzinę ontologii, psychologii, neurologii osobowości. Pojedyńczej osobowości. Tam, gdzie każdy z nas jest dla siebie „jedyną żywą istotą", a gdzie poezja stara się dotrzeć ofiarowując swoją obecność. Więc nic dziwnego: gość zabiegający o przyjęcie w tak „prywatnym" pokoju naszego mieszkania musi zdobyć nasze zaufanie, musi nas ująć. To się określa mdlącym słówkiem „intymność", ale przecież wyznanie poetyckie acz, rzeczywiście intymne nie ma niczego z tego ciaptania w zaróżowione uszko, kiedy dwie panienki „nie mają przed sobą nic do ukrycia".

To jeszcze nie wszystko. Poeta nie tylko odrzuca język konwencjonalny zastępując go własnym, nie tylko prezentuje indywidualne fenomeny doznań, a nie ich uogólnione wzorce, lecz nadto odsłania się odbiorcy najwewnętrzniejszym rdzeniem, jakimś sacronanctum swojej osobowości żądając w zamian tego samego. Żądanie nie małe, ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że nie zawsze — odrzucony konwenans, odrzucony utarty zakres pojęć — te dwie indywidualności znajdują podstawę porozumienia i stąd często szerszy resonans czytelniczy ma fortunny opowiadacz wzruszeń, aniżeli poeta stosujący najwyższy wymóg do siebie i swego partnera. Ale tylko w

Dokończenie na str. 5

Józef Czechowicz

elegia żalu

ja: zielona gwiazdo z norwegii
gładkim na śniegu śladem
majowe u drzew noclegi
opowiadaj

gwiazda: ogniste święta kobiet schodziły ku wodom
lekki wiatr kołysał świat nasz nucąc
chłodził smugą złotą
blaskiem gwiazdy zasmucał
dymiły karminowe pieśni
leśny wieczór się prężył
stojąc w gęstwinie wonnych paproci

ja: skądże przyszedł jak czary zwyciężył
cień przedwczesny
w chłodnym przelocie

gwiazda: zwyciężył święta święte schodzące ku wodom
bo myśl mą przeczuł
żałuję umarłych młodo
i mieczów

ja: zakrywam się przed rozpaczą dłonią otwartą
listopad mocno trzyma mnie w ramionach
wiersz ten rozdarto
spojrzyj już kona

gwiazdo: gdy umilknie śmiercią olśniony
stoczy się na me ręce rosą
poniosę go niemo
sinawą szosą
której nie ma
to na niej gasły drzewa wiatr szepty marz
to tędy szli pomarli zbyt rychło
snuje się mieczów strzaskanych metaliczny kurz
i ja gwiazdo północna przetoczę się cicho

to tędy ty idziesz
zanim jeszcze twe serce ucichło

teatrnn.pl

KULTURA 1972

Zmarli

• 30 sierpnia w wieku 64 lat zmarł w Warszawie Jan Kreczmar, wybitny aktor i reżyser, zasłużony pedagog, cieszący się wysokim autorytetem wśród swoich uczniów i gorącą sympatią polskiej publiczności teatralnej. Jego działalność stanowi odrębny i świetny rozdział naszego teatru.

Literatura

• W tym miesiącu na półkach księgarskich ukaże się pierwszy tom nowej serii międzywydawniczej „Biblioteki 30-lecia" Cykl ten obejmie 100 najwybitniejszych utworów prozatorskich, poetyckich i dramaturgicznych naszej powojennej literatury. „Bibliotekę" otworzą „Wiersze i poematy" Władysława Broniewskiego.

• Nakładem wydawnictwa „Narodna kultura" ukazał się w Bułgarii tom poezji Tadeusza Różewicza zatytułowany „Twarz". Wchodzi on w skład serii „Współcześni poeci". Wiersze Różewicza przełożył Dobrew — junior. Inny tłumacz z języka polskiego, Ognian Todorow, złożył w wydawnictwie maszynopis „W pustyni i w puszczy" Sienkiewicza. Będzie to pierwszy przekład tej książki bezpośrednio z języka polskiego na bułgarski, gdyż dotychczas była ona tłumaczona bądź z języka rosyjskiego, bądź z innych języków.

• „60 lat, które upłynęły od chwili śmierci Bolesława Prusa, nie przekształciły dla nas autora „Lalki" w pisarza o znaczeniu wyłącznie historycznym" — stwierdza na łamach „Literatury Radzieckiej" Walery Agrykołański, omawiając recepcję twórczości Prusa w Rosji przedrewolucyjnej i w ZSRR.

• Po 10 latach żmudnych tłumaczeń na język angielski, „Heike Monogatari", arcydzieło japońskiej literatury klasycznej, jest gotowe do druku i ukaże się niebawem w formie książki. Utwór ten, napisany w XIII w. przez nieznanego autora, jest wierszowanym poematem epickim, opiewającym konflikt pomiędzy dwoma potężnymi klanami — Heike i Genji. Dzieło zostało przetłumaczone na angielski przez prof. Hitoshi Kitagawa.

• Brak jest dokładnych statystyk nakładów w Polsce międzywojennej, ale pewne dane wskazują, że typowy nakład powieści wynosił zaledwie 1150 egzemplarzy, a maksymalny u takich wydawców jak Gebethner i Wolff czy „Rój" nie przekraczał 5 tys. Najwyższy jednorazowy nakład polskiej literatury klasycznej — Żeromski, Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa — nie przekraczał 15 tysięcy. Po 15 tys. egzemplarzy miały jedynie „Trylogia", „Lalka" i „Meir Ezofowicz".

Teatr

• W Monachium działa 20 teatrów i bardzo wiele małych scen o charakterze kabaretowym na dość zróżnicowanym poziomie. Starają się one — według opinii recenzenta „Die Welt" — lawirować między Scyllą sztuki, a Charybdą olimpijskiej rozrywki. Widać i teatry mają ochotę zarobić na Olimpiadzie.

• Zespół dramatyczny „Teatr Morza" wystawił w kilku miastach Francji nową sztukę Jasina Kateba, czołowego pisarza Algierii, pt. „Mohamedzie, zabieraj się z walizką!". Jej akcja toczy się w środowisku robotników arabskich pracujących we Francji. Przedstawienia „Mohameda" gromadzą co wieczór setki emigrantów, stykających się stale z problemami, które porusza sztuka, przede wszystkim wyzysku i rasizmu.

• Czterdziestu młodych aktorów, wchodzących w skład zespołu paryskiego „Théâtre du Soleil", pełni często jednocześnie funkcje instrumentalistów, tancerzy, dekoratorów, oświetleniowców, krawców, tapicerów, a wszyscy otrzymują jednakowe wynagrodzenie. W ubiegłym roku cały zespół własnymi rękami zaadaptował na potrzeby teatru salę jednego z cechów starej fabryki w Vincennes, pozbawionej drzwi, okien i podłogi. W tej dawnej ruderze teatr wystąpił z premierą sztuki „1789 — Rewolucji Francuskiej rok pierwszy", granej następnie przez zespół, z wielkim powodzeniem, w Lyonie, Londynie, Mediolanie, Berlinie, Belgradzie.

• W okresie od maja do września w słynnym parku Tivoli w Kopenhadze produkuje się teatr „Paw", który według baletmistrza zespołu, Nilsa Björna Larsena, kontynuuje tradycje włoskiej trupy pod dyrekcją niejakiego Pasquale Casorti. Przybyła ona do Danii w 1806 r., dając przedstawienia utrzymane w konwencji komedii dell arte. Dziś jednak „komedianci" z teatru „Paw" kontaktują się z widownią wyłącznie przy pomocy gestów i mimiki; czasami krzyczy tylko Pierrot.

Sztuka

• Z inicjatywy wojewódzkich władz partyjnych plastycy śląscy portretują ludzi zasłużonych dla regionu. W tym roku dwukrotnie górnicy i profesorowie, handlowcy i nauczyciele przebywali długie godziny w pracowniach artystów. Z wizyt tych powstało w sumie 76 portretów, pokazanych następnie na dwóch wystawach. Przychodzili na nie „bohaterowie z portretów" i ich rodziny, koledzy z fabryki, sąsiedzi. Po zamknięciu wystaw portrety wręczono modelom.

• Zgodnie z tradycją Związek Młodzieży Wiejskiej zorganizował w czasie letnich miesięcy plenery malarskie dla młodych plastyków, współpracujących z wiejskimi placówkami kulturalno — oświatowymi. W plenerach brali też udział uczniowie ostatnich klas wiejskich liceów, którzy zamierzają w przyszłym roku zdawać egzaminy wstępne do wyższych szkół artystycznych i uczestniczą w specjalistycznym kursie przygotowawczym, organizowanym co roku dla tej młodzieży przez ZG ZMW.

• „Bardzo liczę na współpracę środowiska plastycznego z architektami — ich wspólnym dziełem są przecież miasta, w których żyjemy. Pragnąłbym, abyśmy wszystkie działania podejmowali z pełną świadomością, że czynimy to dla siebie samych, że od nas wszystkich — twórców i prawie półtora miliona warszawiaków zależy, jak będzie wyglądało nasze miasto" — powiedział w wywiadzie dla PAP Stanisław Soszyński, mianowany niedawno naczelnym plastykiem Warszawy. Co o tym sądzą plastycy i architekci lubelscy?

• W Marsylii powstało Muzeum Dziecięce — rzecz bez precedensu we Francji, gdzie szkoła nie uprawia pedagogiki artystycznej, nie wykształca wrażliwości na język symboli, jakim są obrazy. W Muzeum dzieci mają możność nie tylko obejrzenia obrazów, ale także ich dotknięcia. Nie jest to więc „sanktuarium sztuki", a miejsce autentycznego z nią kontaktu. Dziecko może przekonać się, że obrazy nie są dziełem nadludzi nazywanych artystami i że ono samo podobne obrazy „nosi w sobie". To, czego brakuje sztuce współczesnej odnaleźć można w szczerym, prostym i naiwnym świecie przeżyć dziecka — zauważa publicysta „Le Monde".

Muzyka

• Dwaj przedstawiciele polskiego jazzu zostali wybrani na obradującym w Nicei Zjeździe Europejskiej Federacji Jazzowej do władz tej organizacji. Sekretarzem generalnym został prezes Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego (równocześnie redaktor naczelny pisma „Jazz Forum", organu PFJ) — Jan Byrczek, a do zarządu wszedł krytyk i popularyzator jazzu, Roman Waschko.

• W Nowym Jorku zakończył się festiwal, który śmiało można nazwać wydarzeniem artystycznym na skalę światową. Był to pierwszy przegląd wszystkich baletów zmarłego przed rokiem Igora Strawińskiego. 17 z nich miało na tym wielkim festiwalu swoje prapremiery. Organizatorem przeglądu był słynny amerykański choreograf George Balanchine.

• Amerykański Departament Stanu ogłosił, iż miejski balet Nowego Jorku uda się na miesięczne tournée do Związku Radzieckiego. Zespół da łącznie 27 występów, w Kijowie, Moskwie, Leningradzie i Tbilisi. Poprzednią wizytę tancerze nowojorscy składali w ZSRR dziesięć lat temu.

Film i telewizja

• W kinie wioski olimpijskiej w Monachium uczestnicy Igrzysk będą mogli obejrzeć 64 filmy długometrażowe, 78 dokumentalnych, z tego 50 o tematyce sportowej, które zostaną wyświetlone w ramach międzynarodowego przeglądu. Z okazji Igrzysk w Monachium goszczą wybitni aktorzy i reżyserzy filmu światowego, którzy uczestniczą m. in. w spotkaniach z olimpijczykami.

• Słabą pozycję francuskiej produkcji filmowej w porównaniu z innymi krajami obnażył — zdaniem A. Daumana, francuskiego producenta filmowego — „rozpaczliwie nędzny" udział Francji w festiwalu w Cannes. Po owym sygnale alarmowym Państwowy Ośrodek Kinematografii oznajmił, że zmieni skład komisji eliminacyjnej i wyraził ubolewanie, że nie kręci się obecnie we Francji superfilmów o wielkim budżecie. „Są to fałszywe lekarstwa — twierdzi w liście do „Le Monde" A. Dauman. Światowy rozgłos filmowi francuskiemu zdobyły filmy autorskie, wykonane przy bardzo szczupłych funduszach: „Hiroszima, moja miłość", „Parasolki z Cherbourga", „Mężczyzna i kobieta", nie zaś „Angelica".

Różne

• Nasza reprezentacja kulturalna w Monachium jest wyjątkowo liczna i ukazuje możliwie wszechstronnie osiągnięcia polskich twórców, zespołów, wykonawców. W imprezach „Olimpiady Kulturalnej 1972" biorą udział wrocławski Teatr — Laboratorium i „Pantomima", „Mazowsze"; występują też nasze zespoły i artyści estradowi. Kilku twórców zaproszono bezpośrednio do udziału w związanych z Olimpiadą spotkaniach i innych imprezach. W europejskim spotkaniu pisarzy uczestniczy Tadeusz Konwicki; zamówiono okolicznościowy utwór u Krzysztofa Pendereckiego; Erwin Axer i Ewa Starowieyska inscenizują w jednym z teatrów monachijskich „Wujaszka Wanię" Czechowa.

Lubliniana

• W zakończonych przy końcu ub. miesiąca VII Dniach Henryka Wieniawskiego w Szczawnie uczestniczyli także soliści Filharmonii Lubelskiej, których występy spotkały się z dużym uznaniem publiczności.

• Pierwszą wrześniową premierą będzie w Teatrze im. Osterwy „Wyzwolenie" Stanisława Wyspiańskiego — w reżyserii Kazimierza Brauna, ze scenografią Jadwigi Porzakowskiej. W następnej kolejności Teatr wystawi „Otella" Szekspira w nowym przekładzie Bohdana Drozdowskiego i reżyserii Józefa Jasiewskiego. W późniejszym terminie na scenę wejdzie sztuka lubelskiego autora, Stanisława Weremczuka, tematycznie związany z postacią Kopernika „Syn słońca". „Czas teraźniejszy" Adolfa Lekkiego, członka lubelskiego ZLP, osnuty wokół problemów środowiska robotniczego Puław, będzie przedstawiony na małej scenie.

Fot. L. Leo

Przykład: Biłgoraj

Na co dzień a nie z okazji...

CZĘŚĆ obrad VI Zjazdu PZPR toczyła się w zespołach problemowych. Dzięki temu wypowiedziała się większa liczba delegatów, poruszono szerszy krąg zagadnień. W podobny sposób przebiegała konferencja KW PZPR w Lublinie, a ostatnio — Plenum Komitetu Powiatowego PZPR w Biłgoraju. Można w tym dostrzec nowy styl debaty, która przybiera bardziej kameralne formy, a dzięki temu jest bardziej konkretna, bardziej... szczera. Tak, tak, dobrze powiedziałem: szczera. Bo inaczej zabiera się głos, kiedy się stoi na trybunie, gdy obok ma się pokryty czerwonym suknem stół prezydialny, za którym siedzą członkowie egzekutywy, przedstawiciele wyższych instancji, a przed sobą szczelnie zapełnioną salę. Wówczas waży się słowa, najchętniej nie przemawia, ale czyta z kartki, aby nie przekroczyć z góry ustalonych granic.

Zupełnie inny jest natomiast klimat obrad, gdy toczą się one w zespołach. Brak wówczas prezydium, trybuny. Ba — można mówić nie wstając nawet z miejsca. To wyzwala inwencję, nadaje spotkaniu roboczy charakter, ośmiela dyskutantów. Chociaż... Ale o tym później.

Uczestnicy Plenum KP w Biłgoraju debatowali w czterech zespołach: ideologiczno-wewnątrzpartyjnym, ekonomicznym, rolnym i socjalno-kulturalno-oświatowym. Przedstawiciel „Kameny" przysłuchiwał się dyskusji w zespole czwartym.

Jak wynika z materiałów przygotowanych przez egzekutywę, zaległości w rozwiązywaniu spraw socjalno-bytowych oraz poprawy warunków pracy, narosłe w latach uprzednich, były szczególnie w powiecie odczuwane. To, co zrobiono w okresie 1971 i pierwszej połowy 1972 r., stanowi określony postęp. Powiatowa instancja partyjna przy współudziale związków zawodowych dokonała ostatnio badań w dziesięciu zakładach pracy. Pozytywnie oceniono osiągnięcia na tym polu w WSP, BPB i GS w Tarnogrodzie. Ale np. w tymże samym Tarnogrodzie Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska nie wykorzystała w 1971 r. 21 tys. zł z funduszów na akcję socjalną, a w bież. roku z 45 tys. — zaledwie 7 tys. zł. Niepokój w tym względzie budzi również sytuacja w PPUPiT, biłgorajskim oddziale WSS i w Zakładach Dziewiarskich „Mewa".

Rozwiązywanie spraw socjalno-bytowych to również zajęcie się szeregiem ważnych i palących problemów życiowych, jak np. mieszkania, zapomogi i pożyczki, wypoczynek po pracy, życie kulturalne, sport, opieka zdrowotna, stosunki międzyludzkie, bezpieczeństwo i higiena pracy. Egzekutywa zwróciła na to uwagę w swoim materiale, dyskusja w zespole uzupełniła pewne fakty.

Jan Bulicz, lekarz medycyny, sekretarz KM PZPR w Biłgoraju, przedstawił trudną sytuację w dziedzinie służby zdrowia. Opierając się na oficjalnych statystykach, przypomniał, że w kraju na 10 tysięcy ludności mamy 11,7 lekarzy, w województwie lubelskim — 9,9, a w pow. biłgorajskim zaledwie 4,3! Personel medyczny, tak szczupły, dwoi się więc i troi, aby w maksymalnym stopniu wykorzystać swoje możliwości. Co jednak można zrobić, jeśli w przychodni rejonowej pracuje tylko jeden lekarz? Zapracowane jest więc pogotowie ratunkowe, które siłą rzeczy musi się zajmować przypadkami nie wymagającymi natychmiastowej pomocy. Np. w bieżącym półroczu pogotowie wyjeżdżało już do chorych tyle razy, ile w całym 1971 r.!

Biłgorajski szpital dosłownie trzeszczy w szwach. Pod względem wyników leczniczych nie stoi on gorzej niż inne w województwie, ale jakim to się dzieje wysiłkiem! Nie ma odpowiedniej sali operacyjnej, były już komisje, które pytały, dlaczego tu operuje się? Co jednak robić? Zmusza do tego konieczność. Teraz przygotowuje się remont szpitala. Dr Bulicz z góry obawia się, aby nie było tak, jak z remontem szpitala w Tarnogrodzie, gdzie już dwukrotnie minęły terminy oddania go do użytku. Dokumentacja remontowa pochłonęła 360 tysięcy złotych. Gdyby te pieniądze przeznaczyć na zakup pawilonu, można by przy szpitalu mieć przyzwoitą izbę przyjęć.

— A co się dzieje z pielęgniarkami, które kształcimy tu, w Biłgoraju? Idą w świat. Mówimy: brak nam specjalistów. Słyszymy w odpowiedzi: starajcie się. Jak się mamy starać, kiedy do Hrubieszowa, gdzie wybudowano nowy obiekt szpitalny, długo nikt nie chciał przyjść do pracy. A w ostatnich dwóch latach uciekło nam z powiatu dziesięciu stażystów!

W następnej pięciolatce mamy zbudować w Biłgoraju nowy budynek szpitalny. Może więc wstrzymać się z remontem obecnego? Remont zdezorganizuje i tak niełatwą pracę.

Problemy... Problemy... Na temat szpitala wypowiedział się i sekretarz KP, Józef Łoka). *Ten szpital — stwierdził — sen nam spędza z powiek. Zanim będziemy mieć nowy, musimy zatroszczyć się o stary. Centralne ogrzewanie jest potrzebne? Jest. Jeśli nie zadbamy o budynek dzisiaj, to może on się nam całkiem zawalić, a przecież można w nim w przyszłości ulokować chociażby dom starców...*

Powiat ma najlepsze chęci, ale bez pomocy wojewódzkiego wydziału zdrowia wiele nie zdziała. A jeśli obcina się jeszcze dwa etaty pielęgniarskie przy tak trudnej sytuacji, coś tu nie jest w porządku.

A w ogóle wysiłki należy łączyć, wówczas mogą być i większe efekty. Janusz Ostrowski, dyrektor Technikum Elektrycznego, poruszając już sprawy z własnego podwórka wystąpił z inicjatywą budowy ośrodka sportowego dla młodzieży szkolnej. *Jeśli — stwierdził — każdy będzie sobie rzepkę skrobał, nie dojdziemy do niczego. A przecież możemy pozbierać nasze fundusze i zamiast kilku kiepskich boisk zrobić ośrodek, którego nie będziemy się wstydzić.*

O łączeniu wysiłków mówił też Edward Mielnik, komendant Powiatowego Hufca ZHP: *Ciągle rozważamy potrzebę budowy basenu. Jak długo będziemy twierdzić, że „należy zbudować"? Poszczególne zakłady nie wykorzystują u nas pieniędzy na cele socjalne. A ja się pytam, czy basen nie jest potrzebny dla zdrowia? Poszczególni dyrektorzy robią łaskę, świadcząc na potrzeby młodzieży zrzeszonej w ZHP. A przecież to dzieci ich pracowników...*

Dyskusja wyraźnie nabrała rumieńców. Poruszane sprawy były bliskie wszystkim, nie wydumane za biurkiem, nic więc dziwnego, że raz po raz ktoś podnosił rękę do góry.

Dziennikarz już nie notował nazwisk dyskutantów. Ważne były przede wszystkim problemy.

— Mamy Białą Ładę i Czarną Ładę. Rzeki są tak zanieczyszczone, że strach do nich wejść. Niektóre zakłady odprowadzają ścieki wprost do wody. A tyle się mówi o ochronie środowiska!

— Kto u nas zaprojektował przystanki komunikacji miejskiej? Kto dostosowywał rozkłady jazdy do godzin pracy w poszczególnych zakładach? Do pracy nie mogę dojechać, bo o tej porze nie ma autobusu. Kiedy kończę pracę, historia się powtarza. Dla kogo w końcu jest ta komunikacja?

— Czas skończyć z pobłażaniem wobec placówek handlowych. Po co są książki zażaleń? Czy te książki mają kontrolować tylko dyrekcje przedsiębiorstw handlowych? Nic by się nie stało, gdyby jednym z punktów zebrania POP przy naszym oddziale WSS była analiza skarg klientów.

— W sklepie GS, w którym nie ma bieżącej wody, nie można sprzedawać piwa beczkowego w kuflach. No i co się dzieje? Przychodzi dziesięciu chłopów z jednym słoikiem. Sklepowa nalewa im piwo, piją na zmianę. Czy to jest skuteczna profilaktyka przeciwgruźlicza?

— Biłgoraj nie ma gdzie odpoczywać po pracy. Może nasz zaniedbany park przekazać w gestię młodzieży? Niech pokaże, co potrafi!

— Projektowaliśmy urządzenie tego lata 30 dziecińców. Chodziło o pomoc kobiecie wiejskiej w czasie żniw. Niestety, udało nam się zorganizować tylko dziewięć.

— Coraz więcej ludzi masowo korzysta z różnych form turystyki. Jeśli przyjadą w rejon Biłgoraja, co im możemy zaoferować? Mówi się o planie zagospodarowania Roztocza. Chcielibyśmy, aby ten plan był powszechnie znany, aby i nasz głos ważył.

— No i żeby handel też miał na uwadze potrzeby turystów. W okolicach Księżopola jest rzeka. Przyjeżdżamy w niedzielę. I co? Nigdzie żadnego kiosku. Każdy jest zdany tylko na własne wiktuały. A trudno wozić z sobą skrzynkę wody sodowej.

Dyskusja w zespole trwała około trzech godzin. Owszem, padło kilka wartościowych propozycji. Józef Łokaj przedstawił je później w trakcie obrad plenarnych, kiedy sumowano dorobek zespołów. Ale... Właśnie to „ale". Dobrze, gdy zwraca się uwagę na niedociągnięcia, gdy widzi się trudności i zwykłe nonsensy, których nie szczędzi nam życie. Nie wolno jednak zapominać, że za konkretne sprawy odpowiadają konkretni ludzie. Chciało się w czasie obrad zespołu czy posiedzenia plenarnego usłyszeć np. takie zdanie: — *Towarzyszu dyrektorze, pod adresem waszego przedsiębiorstwa są takie a takie zarzuty. Co wy, jako dyrektor, jako członek partii, zamierzacie w najbliższym czasie zrobić, aby te zarzuty już się więcej nie powtórzyły?* Pragnęło się też słyszeć np. zobowiązania w rodzaju: — *Ja wiem, towarzysze, że w tym zakresie kierowany przeze mnie zakład nie w pełni jeszcze realizuje zadania. Dajcie mi czas do (np.) 1 listopada. Przedstawię wam wówczas konkretny dorobek...*

Wiktor Chojnacki, kierownik Wydziału Propagandy KW PZPR w Lublinie, powiedział po prostu: *Chodzi o wzrost odpowiedzialności na co dzień, a nie z okazji.*

Odnosi się to nie tylko do członków partii. Do nas wszystkich.

(j)

CZTERNASTY tom czasopisma wydawanego przez Uniwersytet Lwowski „Ukrajinskie Literaturoznawstwo" w całości jest poświęcony życiu i twórczości Iwana Franki. W dziale teoretycznoliterackim traktuje on o takich problemach, jak poglądy tego pisarza na wolność tworzenia (F. Pustowa), na uwarunkowanie społecznohistoryczne procesów literackich (O. Skoć). O. Moroz przedstawia podstawy historyczne jednego z najbardziej znanych poematów I. Franki „Mojsej" (Mojżesz), opartego na Biblii i historii Żydów, będącego jednocześnie głęboko narodowym utworem ukraińskim.

W dziale historycznoliterackim T. Paczowski omawia nieznany dotychczas dramat I. Franki, napisany po polsku, jeszcze w okresie jego nauki w szkole pt. „Jugurta" na podstawie utworu prozaika rzymskiego z I wieku przed n.e., G. Sallustiusa Crispusa „Bellum Jugurtinum". Znaleziono jedynie drugi i trzeci akt tego pierwszego znanego dotychczas utworu dramatycznego autora, który stał się wybitnym poetą, autorem powieści i dramaturgiem ukraińskim. Ten pierwszy utwór, choć napisany jako ćwiczenie na lekcjach języka polskiego w gimnazjum, ma już duże wartości artystyczne, a dla badania późniejszej twórczości wielkiego pisarza ukraińskiego — ogromne znaczenie. Znalezione dwa akty „Jugurty" wydrukowano również w oryginale po polsku. Iwan Franko pisał po polsku niemało i nie tylko utwory publicystyczne i naukowe, lecz także i literackie. Jego twórczość — to również wdzięczne pole do badań dla polonisty.

B. Bendzar analizuje próby poetyckie I. Franki robione po niemiecku. Znał on doskonale ten język, pisał w nim publicystykę i artykuły naukowe. W Berlinie wyszedł nawet zbiór jego artykułów z lat 1882—1915 na temat historii i kultury ukraińskiej po niemiecku. Artykuł B. Bendzara zwraca uwagę na próby poetyckie Franki w tym języku — rzecz dotychczas mało znana.

Za Bugiem

Iwan Franko był nie tylko pisarzem, był jednocześnie uczonym, którego prace do dziś mają duże znaczenie dla nauki filologicznej (historia literatury, językoznawstwo, folklorystyka), był też krytykiem literackim, oceniającym w owym czasie, na przełomie wieku XIX i XX, zjawiska literackie ukraińskie na szerszym tle słowiańskim i europejskim. Tej sprawie poświęcono kilka innych artykułów.

W dziale „Publikacje" znajdujemy przedruki nowych, nieznanych dotychczas, materiałów, a mianowicie wspomnianego już dramatu „Jugurta" (po polsku), nie wydrukowanego dotychczas artykułu polemicznego I. Franki pt. „Wahrheit und Dichtung", skierowanego przeciwko moskwofilom galicyjskim oraz dokumenty osobiste I. Franki, wydobyte z Archiwum Wiedeńskiego z tego okresu, kiedy pisarz przyjechał do Wiednia, żeby zdobyć na Uniwersytecie stopień doktora. Najbardziej interesujący jest napisany własnoręcznie dość obszerny życiorys po niemiecku, jak tego wymagano. W życiorysie tym pisarz omawia również swoją dotychczasową twórczość naukową i literacką.

Interesująca jest również bibliografia utworów I. Franki oraz prac na temat jego twórczości, wydanych w różnych językach w roku 1970 (156 pozycji).

Czternasty numer czasopisma „Ukrajinskie Literaturoznawstwo" wnosi wiele nowego do badań nad twórczością Iwana Franki. Zbiorek powinien zaciekawić również polonistów, a przede wszystkim tych, których interesują związki polsko-ukraińskie w dziedzinie kultury i literatury w nie tak dawnej jeszcze przeszłości.

M. L.

---

1. Ukrajinskie Literaturoznawstwo, wypusk 14. Iwan Franko. Statti i materiały. Lwów 1971. Redaktor naczelny F. M. Neboriaczok.

DNI MAJDANKA–1972

Dzięki tym właśnie portrecikom dzieci białoruskich, zatrudnionych w specjalnie dla nich zorganizowanym komandzie, którym opiekowała się Helena Kureyuszowa, autorka tych bezcennych pamiątek z Majdanka za pośrednictwem telewizji odnalazła po latach swych podopiecznych; w krótkim czasie należy się spodziewać ich spotkania w Lublinie.

Fot. M. Polski (CAF)

SAMOOBRONA

Elżbieta Rosiak

POSTAWA więźniów w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, ich życie psychiczne, różnorodne formy samoobrony, ich ruch oporu — to problemy, które coraz częściej pojawiają się w centrum zainteresowania badaczy. I tak np. Andreo Devoto w pracy pt. „Aspekty socjopsychologiczne i socjopsychiatryczne obozów koncentracyjnych" przyjmuje tezę, że oporem w obozie można nazwać każdy przejaw działalności więźniów niezgodny z regulaminem, czy wydanym zarządzeniem.

Doznania wszechobecne, typowe dla więźniów — to strach i codzienne stykanie się ze śmiercią. Ponadto poczucie osamotnienia rodzinnego, społecznego a nawet językowego.

Baraki majdankowskie w różnych etapach funkcjonowania obozu były bardzo zatłoczone, każdy więzień musiał znosić bez sprzeciwu wspólnotę życia, narzucano mu zwyczaje i obyczaje, do których nie był przyzwyczajony. Jeżeli do tego dodamy przekleństwa, groźby podawane w różnych intonacjach głosowych, jasnym się stanie że stan napięcia nerwowego towarzyszył ludziom niemal każdego dnia. Stąd wśród więźniów hitlerowskich obozów można było wyróżnić kilka grup reakcji psychicznych: negatywną (obojętność, apatia, nieufność, niekiedy, choć rzadko, kolaboracjonizm), pozytywną (solidaryzowanie się, prowadzenie tzw. działalności kulturalnej, opór, czasem nawet bunt), mieszaną (przekazywanie z ust do ust pogłosek o niepowodzeniach hitlerowców, swoisty humor makabryczno - groteskowy, podawanie przepisów kulinarnych).

Zgodnie z definicją „Małego słownika języka polskiego" pod terminem samoobrony rozumiemy „działanie w obronie samego siebie, w obronie własnych interesów". Materiał do tzw. „nielegalnej działalności więźniów Majdanka" zaczerpnięty został ze wspomnień, relacji i listów pisanych w obozie, czyli tzw. „grypsów".

Interesują nas te momenty i te właśnie chcemy naszkicować, które wpłynęły na aktywną postawę uwięzionych wobec obozowej rzeczywistości. W przypadku Majdanka mamy do czynienia z niezwykle bogatymi formami działania zmierzającego do samoobrony, uzależnionymi od wydarzeń wewnątrzobozowych, jak też poza jego granicami — od najbardziej prymitywnych do złożonych, od indywidualnych prób — do działalności zbiorowej, kierowanej.

Dla wszystkich więźniów najważniejszym zagadnieniem była sprawa samoobrony fizycznej i psychicznej, a więc godząca w założenia obozowe. Temu momentowi sprzyjało wiele czynników: życie w blokach (zwłaszcza w tych, gdzie w większości mieszkała jedna narodowość) oraz praca we wspólnych grupach roboczych, czyli tzw. komandach. Często sam transport więźniów, który przybywał na Majdanek, już uprzednio, w czasie pobytu w więzieniu, czy w czasie podróży pozwalał na wzajemne poznanie się i na tworzenie grup, w których należy dopatrywać się początków kolektywów zorganizowanych później w obozie. I tak np. w barakach, w których przebywały kobiety z Pawiaka, obserwujemy zjawisko tworzenia się tzw. rodzinek (pisze o tym Danuta Mędrykowa w książce pt. „Niebo bez ptaków"). Te właśnie kolektywy pozwalały na wprowadzenie zasad moralności obozowej, brały w obronę więźnia, jego interes, umożliwiały więc dokonanie sprawiedliwego podziału posiłków przywożonych z kuchni obozowej, na dzielenie się prowiantem z otrzymywanych paczek itd.

Wszyscy więźniowie zarówno mężczyźni, jak i kobiety zgodnie stwierdzają, iż samopomoc nie była na Majdanku żywiołową, ale bardzo przemyślaną. Oczywiście wiele zależało tu od stopnia zżycia się bloku, przygotowania politycznego, poziomu umysłowego czy też wyjątkowych rysów osobowości wyróżniającej się jednostki (odwaga, poczucie więzi społecznej czy narodowej, wysoki poziom moralny, zdolności organizacyjne itp.). Dla przykładu podamy tutaj nazwisko nieżyjącego już Stanisława Zelenta, któremu wielu więźniów zawdzięcza przetrwanie. Potrafił on wyciągnąć przyjazną dłoń i roztoczyć opiekę nad tymi, którzy byli u kresu wytrzymałości fizycznej i psychicznej. Szacunek, jakim go otaczano, pozwolił Zelentowi na proponowanie władzom obozowym wykonywania tego typu prac w obozie, które przynosiły korzyści więźniom, ułatwiały w pewnym stopniu życie (oczyszczanie pola, poddawanie projektów upiększania go, a pod tym przecież kryły się plany zmierzające do zaoszczędzenia energii itp).

Dzięki jego inwencji i artystycznej koncepcji M. A. Bonieckiego na III polu Majdanka wzniesiono kilka rzeźb o charakterze symbolicznym: kolumnę tzw. trzech orłów, (w 1943 r.) następnie żółwia, czy salamandrę. Każda z rzeźb, jak piszą we wspomnieniach byli więźniowie Majdanka, symbolizowała hasła więźniarskiego ruchu oporu. W działalności Zelenta poza samoobroną dostrzegać trzeba zaangażowanie się w konspirację i przekazywanie odpowiednich meldunków interesujących - podziemie (podawanie informacji składu narodowościowego transportów wychodzących z Majdanka w celu odbicia ich przez partyzantów itd.)

Majdanek miał tę przewagę w stosunku do innych obozów, że był otoczony własnym społeczeństwem, mieszkańcami Lublina, którym wielu więźniów zawdzięcza przetrwanie, a także możliwości kontaktowania się z rodziną bądź organizacjami. Więźniarki majdankowskie, patrząc z perspektywy ćwierćwiecza na lubelski obóz koncentracyjny, podkreślają nietypowość stosunków między więźniami. Uważają, że rzeczą niezmiernej wagi było przybycie na Majdanek 17 stycznia 1943 r., transportu z Pawiaka. Kobiety z Pawiaka przeniosły do lubelskiego obozu cechy postawy ludzi walczącej stolicy. W literaturze martyrologicznej poświęconej Majdankowi mówi się o tzw. stylu pawiaczek. Styl ten — to pogarda dla majestatu władzy i organizowanie różnych akcji o charakterze społecznym. I tak np. baraki, w których mieszkały więźniarki z Pawiaka, działały na podstawie nakreślonego regulaminu, miały powołany własny samorząd, co więcej utworzono nawet komisje, które brały w obronę interes więźnia. Działały więc następujące komisje: sanitarna, na której czele stała Helena Prostasowicka; sąd koleżeński pod kierownictwem Marii Rosner; komisja samopomocy i kulturalno-wychowawcza — odpowiedzialne były Matylda Woliniewska i Eugenia Piwińska; gospodarcza — kierowała nią Maria Polkowska.

Powołanie takich komisji stało się możliwe, gdyż funkcyjnymi były kobiety-więźniarki, wybrane przez kolektyw barakowy, zaakceptowane przez społeczność bloku (np. Hanna Mierzejewska), darzono je powszechnym zaufaniem. Komisjom samopomocy i kulturalno-wychowawczej zawdzięcza się organizowanie zbiórek żywności z paczek i pieniędzy na cele niesienia pomocy tym, którym najbardziej była ona potrzebna (np. opieka nad dziećmi polskimi, białoruskimi, żydowskimi).

Dużą rolę w organizowaniu samoobrony odegrało tzw. radio Majdanek. „Ton tych audycji — pisze Matylda Woliniewska — w zależności od indywidualności aktualnej spikerki — był różnorodny, ale linia była zawsze ta sama: podtrzymywać, podnosić morale, zwalczać przejawy społecznie szkodliwe, kształtować opinię społeczną. Mówi się, że kto ma radio, ten ma władzę. Istotnie jakoś tę władzę miał blok pawiaczek. Myślę o władzy w sensie moralnym.

Dla tego właśnie radia potrzebny był materiał do przekazu, czerpano go z całodziennych doświadczeń przy pracy, czy też z problematyki życia wewnątrzbarakowego. Danuta Brzosko-Mędryk, spikerka majdankowska, w „Niebie bez ptaków" podaje teksty jednej z zachowanych audycji radiowych. Ta nielegalna działalność — z braku innego terminu nazwijmy ją kulturalną — nie ograniczała się do porannych i wieczornych komunikatów, ale też zataczała coraz większe kręgi. Myślę w tym przypadku o organizowaniu tzw. niedzielnych koncertów. Materiał do nich czerpano z zapamiętywanych z wolności utworów poetyckich, chętnie deklamowano strofy „Elegii o śmierci Ludwika Waryńskiego" czy śpiewano „Mazur kajdaniarski".

Wiaśnie koncerty niedzielne stawały się momentem łączącym kobiety z bloku pawiaczek, ale i innych, gdyż zapraszano na nie zaufane więźniarki z innych baraków. Wówczas też prezentowano utwory o charakterze okolicznościowym, które za temat brały sprawy wynikające z utrudnień obozowych, np. ośmieszanie zarządzenia władz obozowych (np. sprawę zamknięcia dopływu wody, brak podstawowych urządzeń sanitarnych itd.) W tym przypadku i przy utworach pisanych, że tak nowiem na zamówienie społeczne, do głosu dochodziła satyra i związany z nią humor. Pełnił on wówczas role dydaktyczną i był swoistego rodzaju antidotum na warunki obozowe.

Poza tekstami okolicznościowymi wymienione uprzednio poetki pisały także utwory wierszowane o charakterze lirycznym. Znane są wiersze Poli Braun (np. „Matka" — wiersz poświęcony walczącej Warszawie), czy utwory Elżbiety Popowskiej, której twórczość pełniej wyraziła się w Ravensbrücku. Popowska wyznaczyła swoim utworom funkcję służenia życiu obozowemu, podtrzymywaniu na duchu słabszych i należy przyznać, że udało jej się to znakomicie. Dużą popularnością cieszył się hymn więźniarek majdankowskich pt. „Pasiaki" pióra Zofii Karpińskiej, zaczynający się od słów „Wyniosła postawa, choć brzydki nasz strój". Specjalne jednak słowa uznania powinny być skierowane pod adresem szpitali obozowych noszących nazwę rewirów. Odegrały one nie tylko poważną rolę w niesieniu pomocy chorym (w takim stopniu, na ile było to możliwe), ale też stały się szkołą koleżeńskości, patriotyzmu i męstwa.

Już w styczniu 1942 r. utworzono rewir męski na polu I, który funkcjonował do 5 września 1943 r. Po nich powstały szpitale na II polu (marzec 1943 r. do 22 lipca 1944 r.) na polu III (kwiecień 1943 do 22 lipca 1944 r.) W tych rewirach z ogromnym oddaniem pracowali tacy lekarze, jak np. dr Tadeusz Kosibowicz, który prowadził dla średniego personelu więźniarskiej służby zdrowia wykłady z zakresu chirurgii, prof. Romuald Sztaba, który nie tylko ratował chorych, ale też był zaangażowany w sprawy konspiracyjne (patrz wspomnienia Zacheusza Pawlaka pt. „Przeżyłem..."), dr med. Jan Nowak, lek. med. Ostrowski, który z własnej woli niósł pomoc chorym przywiezionym z Dory, doc. dr Henryk Wieliczański, o którym więźniowie mówili, że to doktór samarytanin. Należy tu też podkreślić wysiłki księdza Witolda Kiedrzyńskiego, znanego przede wszystkim pod pseudonimem „Kolodko", czy wykłady szkoleniowe prof. Mieczysława Miachałowicza, który np. w lipcu 1943 r. pertraktował w sprawie utworzenia oddziału dziecięcego.

Rewir gromadził ludzi różnych zawodów, często z ich wiedzy korzystali więźniowie Majdanka, dokształcając się (piszą o tym wszyscy b. więźniowie zaangażowani w pracy w rewirze). Już właśnie taka postawa uwięzionych wskazuje na przemyślaną, zorganizowaną samoobronę psychiczna.

Na polu kobiecym duże zasługi w podtrzymywaniu na duchu kobiet odegrał rewir zlokalizowany od stycznia 1943 r. na polu V, a potem do 19 maja 1944 r. funkcjonujący na I polu. Szczególne zasługi w organizowaniu rewiru żeńskiego poniosła dr med. Stefania Perzanowska, dzielnie pomagała jej dr Aglaida Brudkowska-Jaworska i ofiarne więźniarki stanowiące personel pomocniczy. Tutaj także, w momencie, gdy szpital powiększył się o nowe baraki i kadry, funkcję tę przejęła na siebie dzielna dr Perzanowska. W jednym z grypsów przesłanych do córki pisała:

„Przede wszystkim chcę bronić chorych, co jest moim elementarnym obowiązkiem. Są tu i osoby, które załamują się łatwo nerwowo, już teraz tych trzeba podtrzymać".

Natomiast Helena Protasowicka w grypsie przesłanym do Saturniny Malmowej tak określiła swoją postawę:

„To że jestem tutaj, nie może mnie izolować od obowiązków społecznych".

Systematyczne prośby o lekarstwa, o paczki żywnościowe dla ratowania chorych są przykładem nie tylko bezinteresowności, ale też pięknym, etycznym rysem osobowości polskich więźniarek. Ta misja majdankowskich lekarzy mogła być spełniona dzięki pomocy i solidarności Polaków spoza obozu. Czynności te w zorganizowanej formie przyjęły na siebie PCK i RGO, a także osoby indywidualne.

Ważnym czynnikiem wpływającym na samoobronę więźniów były święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Wówczas to może najbardziej uwidaczniała się solidarność więźniarska, wygłaszano okolicznościowe przemówienia, których treść wzruszała zebranych, zagrzewała do przetrwania, tworzyła front jedności więźniarskiej. Z tych też okazji z Majdanka wędrowały droga nielegalna grypsy z życzeniami, czasem specjalnie przygotowana grafika — miedzioryty, o czym pisze Jerzy Szczęśniewski do Kazimiery Jarosińskiej w dniu 31 XII 1943 r.: „należy je chować i pod każdym pozorem nie publikować: chodzi tylko o bezpieczeństwo kolegów — artystów". I na odwrót, z wolności do lubelskiego obozu wędrowały ofiarnie przenoszone przez robotników egzemplarze podziemnej prasy i książek.

Oczywiście należy pamiętać i o tym, że w barakach, w których panował mniejszy reżim obozowy, próby samoobrony były prowadzone w większym stopniu: to, co mogło się dziać np. na polu kobiet, było niemożliwe na III polu Majdanka, do którego przylgnęła nazwa „pola śmierci". I tak np. Helena Kurcyuszowa opiekowała się dziećmi białoruskimi z Witebska. W wolnych chwilach od pracy uczono się wzajemnie języków: ona rosyjskiego, a dzieci polskiego. Często też rysowała portreciki małych białoruskich więźniów, które udało jej się przechować do dzisiejszego dnia.

Wspomniane wyżej przykłady samoobrony stanowiły pierwszy stopień do właściwego ruchu oporu na Majdanku, którego wyższymi formami ucieczki, działalność organizacji „Orzeł", czy też plany związane z uwolnieniem obozu.

Serdeczne ślady

POLE piąte Majdanka sąsiaduje z krematorium — fabryką śmierci, jak mówi się w literaturze majdankowskiej o pięciopaleniskowym piecu wykonanym przez berlińską firmę Kori. Pole piąte jest teraz puste. W lecie spośród zielonej trawy wystrzelają w górę łodygi kwitnącej dziewanny. Wyrosły z popiołów tych, których już nie ma. Pozostała jednak pamięć wśród żyjących więźniów o najbliższych, którym nie dane było doczekać wolności.

Patrząc na pole, zastanawiam się, tak jak i przed laty dr Perzanowska; czy bydlęce baraki kiedyś na nim stojące z trzypiętrowymi pryczami wewnątrz, a na nich leżące chore na siennikach, przykryte jednym kocem, można było nazwać szpitalem? Niemcy na Majdanku określali tę nielegalną wysepkę ludzkiej więźniarskiej dobroci jako „rewir", ale dr Perzanowska nie lubiła tego słowa. Wolała — szpital. Szpital, bo uczciwie wykonywano tu obowiązek niesienia pomocy cierpiącym. Tylko zen z powiek spędzał dzielnej lekarce nie lada problem: wzrastała liczba chorych i trudno było podołać pracy. Grupka zawodowych pielęgniarek stawała się wówczas przysłowiową kroplą w morzu. Wiem, że nie należała do ludzi, którzy potrafią bezradnie założyć ręce i czekać. Taka przecież dr Perzanowska jest do dzisiaj — czynna i energiczna.

Tymczasem do obozu przybywały nowe transporty kobiet. Wśród nich 17 stycznia 1943 r. więźniarki z Pawiaka. Dr Perzanowska zapytała je: która z was chce pracować w szpitalu? Uprzedziła, że pracy w szpitalu jest dużo, męczącej i odpowiedzialnej, bo: „pracować muszą z całym oddaniem, nie dla znienawidzonych Niemców, i że od jej jakości w dużej mierze zależeć będzie powrót do zdrowia chorych koleżanek".

Kobiety popatrzyły na siebie. Przypomniały się im koszmarne noce, przerywane pojękiwaniami chorych, męczący kaszel zaziębionych, szmer wydobywający się przy drapaniu swędzących ciał o kant pryczy. Świerzb, awitaminoza, flegmona, do tego dały znać o sobie odbite w czasie przesłuchań hitlerowskich nerki, wątroba, bóle stawów, zaburzenia wzrokowe, utrata zmysłu równowagi, potem dur brzuszny i plamisty.

Postanowiły walczyć — życie jest cenne, życie jest jedno.

Powiększył się personel lekarski. Obok dr Perzanowskiej można było zobaczyć dr Hannę Jodko-Narkiewicz z dużym talentem chirurgicznym, potem dr Aglaidę Brudkowską, lekarkę Żydówkę Marię Marder. Personel lekarek majdankowskich zasilił także transport z warszawskiego getta — 22 lekarki i 40 pielęgniarek, później cztery lekarki rosyjskie, m. in. Nadia Pawlenko i Lidia Simbircewa. Cztery baraki V pola — to było miejsce ich codziennej pracy. Ale w obozie na Majdanku wszystko było niepewne i nowo zwerbowane lekarki nie zawsze dobrze znały swoje losy.

I tak zaczęło się w wolnych chwilach nauczanie nowoprzyjętych kandydatek. Przypominano anatomię, fizjologię, zasady aseptyki, kardynalne objawy najczęściej występujących w obozie chorób, sens i treść zabiegów. Liczyły tętno, wprawiały się w robieniu zastrzyków, rysowały karty gorączkowe, myły ciężko chore, czesały, karmiły. Nie, nie była to praca łatwa! Wiele z

Dokończenie na str. 8

Zanotowane nad Tamizą (2)

Góra z górą...

Mirosław Derecki

ZNAJOMA Polka, od lat mieszkająca w Londynie, opowiadała mi następującą historię:

Po wyjściu z wieczornego dyżuru w biurze natknęła się na ulicy na starego znajomego, pana L., którego nie widziała od dobrych kilku miesięcy. Pan L. zaproponował wypicie kawy w najbliższym barze i... zanim się obejrzeli, minęła godzina pierwsza w nocy.

W Londynie stacje metra są o tej porze już dawno zamknięte, autobusy nocne kursują bardzo rzadko i tylko na nielicznych liniach. Mojej znajomej pozostawało więc: albo wrócić do domu taksówką albo przewędrować piechotą trzy mile. Oczywiście wybrała tę pierwszą ewentualność. Ale tutaj znowu zaczęły się trudności: znajdowali się z panem L. w centrum miasta, przy Charing Cross Road, na pograniczu tętniącej nocnym życiem sławetnej dzielnicy Soho, gdzie o każdej porze dnia i nocy jest nadmiar chętnych amatorów na taksówki. Po dłuższym, bezowocnym czekaniu na skraju chodnika znajoma zdecydowała się jechać „na łebka", jako że i w Londynie są ludzie, którzy wieczorami wyjeżdżają na ulice żeby „dorobić" na raty samochodowe. I tutaj następuje kulminacyjny punkt całej historii: gdy zatrzymała się wreszcie przy krawężniku elegancka limuzyna, w której siedział elegancki Hindus, a moja znajoma wsiadając powiedziała — „Do widzenia, dziękuję za miły wieczór" — po polsku do pana L., a coś tam zaraz po angielsku — do Hindusa, Hindus wypalił do niej czystą polszczyzną: „To gdzie mam panią podrzucić? A w ogóle to pani Polka z emigracji czy z Kraju?" Widząc zaś niebotyczne zdziwienie swojej pasażerki, wyjaśnił: „Bo widzi pani, znam polski, bo mam żonę Polkę. Ona jest z Lublina. Zna pani Lublin? Ja tam jeździłem. Taka przyjemna, cicha miejscowość. Dużo zieleni..." Zapytana, na oczy nie oglądała Lublina, ale za to w jej mieszkaniu zajmował właśnie pokój rdzenny Lublinianin, czyli niejaki Mirosław Derecki. Może to truizm i banał ale... świat jest jednak mały...!

W kilka dni później siedziałem późnym wieczorem z kolegą, zresztą „rodakiem" z Lublina, Łukaszem Mysłowskim, w pubie naprzeciwko mojego domu, popijając piwo „Double Diamond". Pub był stary, bardzo „wiktoriański" — pełen kotar pluszowych, obitych aksamitem kanapek, zmętniałych luster, rozwieszonych na ścianach zżółkłych fotografii byłych właścicieli, znajdował się zaś przy cichej Hollywood Road położonej jak gdyby z dala od otaczającej ją ruchliwej, artystycznej dzielnicy Chelsea. „Stara wesoła Anglia w kapsułce" — zwykł był mawiać o takich miejscach Łukasz. Istotnie miał rację. Wydawać by się mogło: „gdzie Rzym, gdzie Krym a gdzie Polska" w tej tutaj scenerii i tej atmosferze... A jednak! W trakcie rozmowy nagle ktoś siedzący z tyłu przy barze, dotknął mojego ramienia. Odwróciłem się: miałem przed sobą dość typową w młodzieżowym Londynie „dwukolorową" parę — rosły, elegancko ubrany Chińczyk i przystojna „dziewczyna z Chelsea" w ciuchach od „Biby", „Miss Selfridge" i „Way in".

„Ja bardzo pana przepraszam — powiedziała ona po polsku, uważnie się przyglądając, ale czy to nie pan Derecki?" Zgłupiałem. „Pan w Lulinie często bywał w klubie „Nora", prawda? No więc ja tam też często przychodziłam z koleżanką ze studiów i pana zapamiętałam..."

Jak to bywa w zwyczaju wśród Polaków z Kraju przebywających za granicą, wymieniliśmy „na wszelki wypadek" numery telefonów i później już więcej nie miałem z tą dziewczyną kontaktu, nie mam pojęcia jak się nazywa, co w Lublinie studiuje i co robiła w Londynie, natomiast po tym i kilku podobnych spotkaniach przestałem się już dziwić czemukolwiek.

Z Łukaszem zetknąłem się w Londynie w sposób równie nieoczekiwany. Umówiłem się kiedyś na stacji metra Hammersmith z parą znajomych Polaków — on pracował „w murzyńskim buildingu", czyli jako pomocnik murarza w niewielkim przedsiębiorstwie budowlanym prowadzonym przez właściciela, Murzyna, ona — jako „au pair", czyli pomoc do dzieci — oboje przygotowywali się poza tym do rozpoczęcia studiów doktoranckich w London School of Economics. Do spotkania w końcu nie doszło, bo na milę przed Hammersmith autobus, którym jechałem, utknął w gigantycznym korku ulicznym; przez niemal godzinę, w deszczu, chmurze spalin z tysięcy pojazdów, ryku samochodowych klaksonów, policja dokonywała cudów żeby zaprowadzić na jezdni jaki taki porządek. Więc kiedy dobrnąłem wreszcie na Hammersmith Station, po Andrzeju i Barbarze nie było już ani widu ani słychu. Przypomniałem sobie jednak, że umawiając się, wspominaliśmy, iż można by było pójść na kawę do „Dakowskiego", pojechałem więc metrem na South Kensington. Wchodząc w drzwi słynnej polskiej restauracji i zarazem kawiarni, nie byłem jednak zbytnio przekonany, że ich tam spotkam. Filiżanka czarnej kawy kosztuje „U Dakowskiego" 10 pensów, do tego trzeba dodać kelnerce „tip" (napiwek) w wysokości 5 pensów, bo mniej już naprawdę nie wypada, co łącznie stanowi wysokość ceny kostki masła „Anchor", zaś mollerowski Skąpiec jawił mi się zawsze w porównaniu z Andrzejem, jako skrajny utracjusz. Andrzej z zasady palił tylko papierosy kolegów, w miarę możności poruszał się po Londynie piechotą, zaś jego podstawowe wyżywienie stanowiły jajka i zielony groszek konserwowy zmieszany ze skondensowanym mlekiem. Nazywał tę mieszaninę „jajeczno-grochowym purée na słodko", twierdził, że jest niezwykle pożywna i że bardzo mu smakuje...

Oczywiście ani Barbary ani Andrzeja w głównej sali restauracyjnej nie było i właściwie nie wiem, co mnie podkusiło, żeby zejść na dół, do dodatkowej salki, tuż przy kuchni, gdzie już w żadnym wypadku nie podawano samej kawy lub herbaty i gdzie najtańsze danie: „kaszanka po polsku z kartofelkami i ogórkiem kiszonym", kosztowała bagatelną sumkę — pół funta szterlinga. I tam właśnie napatoczyłem się na Łukasza. Odmieniony, z długimi włosami, „kak dandy londonskij adiet", z nostalgicznym wyrazem twarzy konsumował właśnie ową typową polską potrawę narodową. „No to, stary, świat jest jednak mały" — powiedzieliśmy wtedy równocześnie. Ostatni raz widzieliśmy się przed rokiem w Kazimierzu nad Wisłą na tarasie kawiarni prowadzonej przez panią Tyszkiewiczową i ani nam przyszło wtedy do głowy, że następne spotkanie będzie miało miejsce o kilka tysięcy kilometrów dalej na zachód, w zdetronizowanym byłym centrum „polskiego Londynu". Łukasz siedział w Londynie już niemal od roku, „na zaproszeniu rodziny" i studiował język angielski w sławetnej prywatnej szkole języka angielskiego przy Rupert Street, w pobliżu Picadilly Circus, w której człowiek co krok potyka się o rodaków z Kraju a bywa, że i z własnego podwórka... I wcale to nie jest przesada, bo tam właśnie spotykaliśmy, już obydwaj, „wakacyjnego znajomka" z Kazimierza, Jacka Johna, plastyka warszawskiego, który, ożeniony z Angielką, osiadły od niedawna na stałe w Londynie, uzupełniał na Rupert Street angielskie słownictwo w celu — jak dowodził — łatwiejszego kłócenia się z małżonką.

W Kazimierzu Jacek mieszkiwał zwykle z ojcem i z siostrą w Rynku. W Londynie zajmowali z żoną dwa pokoiki w dość szpetnej i ponurej dzielnicy Hammersmith, w pobliżu stacji metra Ravenscourt Park. Tyle łączyło obydwa te zupełnie odmienne mieszkania, że w jednym jak i w drugim można zawsze było spotkać tłumy młodych Polaków przychodzących tam w zupełnie zaskakujących porach dnia i nocy. W Londynie miało to ten dodatkowy plus, że wszedłszy do mieszkania Jacka człowiek na pewien czas zapominał, że przebywa w zupełnie obcym mu kraju...

W Londynie Jacek imał się różnych zawodów, wsławił się zaś tym, że tylko on jeden jedyny potrafił znaleźć wspólny język ze słynnym majorem M., właścicielem hotelu w pobliżu dworca kolejowego Victoria. Major M. przedwojenny oficer Wojska Polskiego, ożeniwszy się po przybyciu do Anglii z majętną córką jednego z angielskich lordów, okazał następnie wiele przenikliwości historyczno-ekonomicznej lokując wzięte z wianem kapitały w domach i hotelach. Po dokonaniu tego całkiem sensownego posunięcia, mógł już sobie spokojnie pozwolić na rozliczne dziwactwa.

Jacek zaczepił się u niego na dłużej jako kierownik recepcji hotelowej. Major swój hotel traktował jak rodzaj wielkiego poligonu wojskowego, na którym rozgrywał całe batalie wojenne; poszczególne piętra były armiami, korytarze — pułkami a pokoje — kompaniami. Siłą rzeczy kierownik recepcji stawał się czymś w rodzaju adiutanta i trzeba przyznać, funkcję tę znosił ze stoickim spokojem. Innym dziwactwem majora było przekonanie, że liczne w naszej historii niepowodzenia czy to polityczne czy też ekonomiczne były wynikiem zbytniego gadulstwa Polaków i braku umiejętności precyzowania myśli. „Panie Jacku — perorował podczas porannego obchodu hotelu — wszystko jest tutaj źle urządzone i trzeba przeprowadzić zasadnicze zmiany". „Tak jest!" — odpowiadał służbiście kierownik recepcji. „Więc taak... — ciągnął major — chyba czwórkę przesuniemy na jedynkę, dwójka pójdzie na dziesiątkę, szesnaście na dwanaście, a czwórkę zamienimy na piątkę". „Ja myślę — zastanawiał się adiutant metodą dobrego wojaka Szwejka — że dodatkowo szesnaście można by przerzucić na cztery a w jedynce zrobić miejsce dla szóstki". „Tak, chyba tak będzie najlepiej" — godził się major i dodawał z zadowoleniem: — „Z pana jeszcze będą ludzie, panie Jacku. Pan potrafi myśleć cyframi. My, Polacy, nie umiemy myśleć cyframi. Anglicy myślą cyframi. Nowoczesne społeczeństwa myślą cyframi. Bierzmy przykład z Anglików i ze społeczeństw nowoczesnych!".

Potem Jacek ruszył wykonać polecenia, to znaczy otwierał któryś z pokoi na wyższych piętrach i kładł się spać na dwie godziny, a major wychodził na spacer. Obydwaj zupełnie nie mieli pojęcia o co w rozmowie chodziło, ale też rozstawali się całkowicie z siebie zadowoleni.

Pośrednio dzięki Jackowi odnalazłem w Londynie „Maniuśkę". Pośrednio, bo gdybym nie wypił owego dnia na „spotkaniu towarzyskim" zorganizowanym w jego mieszkaniu o jednej butelki piwa za dużo i nie zadrzemał w związku z tym na moment w wagonie linii metra „District", wysiadłbym na właściwej stacji a nie na Południowym Kensingtonie, gdzie już raz się znalazłszy, niejako siłą rozpędu wkroczyłem w gościnnie otwarte drzwi „Dakowskiego". A tam właśnie, przy pierwszym stoliku pod oknem, starała się pić w jak najbardziej dystyngowany sposób kawę Mrs. Maria Turner, w lubelskich kręgach znajomych zwana popularnie Maniuśką.

Maniuśkę znałem jeszcze z czasów, kiedy prowadziłem w Wojewódzkim Domu Kultury w Lublinie klub „Zamek", gdzie Maniuśka przychodziła w charakterze niewypierzonej jedenastoklasistki. Potem Maniuśka poszła na studia, zrobiła magisterium, wyszła niezbyt pomyślnie za mąż, pomyślnie uzyskała rozwód, sprzedała lubelskie mieszkanie i wyjechała do Warszawy. Potem Maniuśka przeniosła się do Francji, na pewien czas słuch o niej zaginął, odnalazła się we Włoszech, wróciła do Paryża, jakoby kontynuowała studia na Sorbonie, wyszła za mąż za Anglika i wreszcie osiadła w Londynie.

Wyjeżdżając z Polski wziąłem jej londyński adres i na miejscu odnalazłem ulicę i dom, daleko, na Actonie, ale Maniuśki nie zastałem; właścicielka mieszkania powiedziała mi, że jej lokatorka wyjechała na dłuższy czas znowu do Paryża. Poprzestałem na tej wiadomości zadając sobie tylko pytanie, czy przypadkiem Maniuśka nie odnajdzie się nagle w Ekwadorze, na wyspach Bahama lub w Gujanie Południowej. Nosi tę dziewczynę po świecie jak rzadko kogo. No i trzeba było przypadku, że wstąpiłem w kilka miesięcy potem, prawie bez zastanowienia, do polskiej restauracji na Południowym Kensingtonie... Okazało się, że w tzw. międzyczasie Maniuśka zdołała odwiedzić Szwajcarię, była znowu we Włoszech, a dwa dni przed naszym spotkaniem gościła jeszcze w Lublinie. „A wie pan, że ja właśnie przedwczoraj szukałam pana w Lublinie, w klubie „Nora"? — przypomniała sobie pod koniec rozmowy — „Pisano mi do Francji, że mnie pan szukał w Londynie i pomyślałam sobie, że może już pan wrócił...".

„I cóż słychać w „Norze"? „Wszystko po staremu — powiedziała Maniuśka. — Siedzą wszyscy, jak siedzieli, piją wszyscy, jak pili".

Pamiętam, że się wtedy rozrzewniłem. Dobrze jest mieć na świecie jedno przynajmniej miejsce absolutnie stabilne, do którego zawsze można wrócić jak do zasiedziałej na prowincji rodziny.

Kilkaset metrów od mojego domu, przy Old Brompton Road, mieszkała i pracowała Ewa Schejbal, siostra Jurka Schejbala, aktora Teatru im. Osterwy w Lublinie. Idąc pod wynotowany mi własnoręcznie przez brata adres, spotkałem Ewę przypadkowo na ulicy przed jej domem i rozpoznałem dzięki wielkiemu podobieństwu do Jurka...

W drzwiach Konsulatu PRL w Londynie natknąłem się na Hankę Branicką, lekarkę z Lublina, która właśnie załatwiała formalności związane z uzyskaniem paszportu konsularnego...

Na peronie Liverpool Street Station, gdzie przyjeżdżają pociągi z Polski, dwóch brodatych facetów wypytywało mnie, czy przypadkiem nie jestem z Lublina...

W rozmowie z jedną z londyńskich znajomych, panią Wołkowicką, zgadałem się przypadkowo, że jest ona daleką kuzynką mojej lubelskiej koleżanki, Ewy Tuszkiewicz...

•

Powiadają, że góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem — zawsze... Fakt.

Nicowanie kultury

Dokończenie ze str. 1

W powiecie krasnostawskim poza jednym kompletem szachów i warcabów, w statystycznym klubie nie uświadczysz żadnej innej gry towarzyskiej, płytoteki są przestarzałe i zniszczone, zimą brakuje węgla, a jeśli nawet gromadzka rada postara się o opał, to dla równowagi zapomni o remoncie pieca. Jak przed laty, tak i obecnie mieszczą się one w lokalach jednoizbowych, w budynkach starych i zniszczonych, o przeciekających dachach. Niemniej jednak warto rozwijać tę pożyteczną inicjatywę... Klub „Ruchu" w Szpikołosach w pow. hrubieszowskim otwarto jako pierwszy na Lubelszczyźnie, czemu towarzyszyła radosna wrzawa i słuszna duma, aby po kilku latach, w 1970 roku, zamienić się w powściągliwy opis stanu faktycznego: „Brak odpowiedniego zainteresowania ze strony GRN, od lat klub nie remontowany, wymaga zmiany gospodarza, cały dorobek zaprzepaszczony".

Skonfrontowanie w czasie sytuacji kin i bibliotek wiejskich prowadzi do podobnych wniosków, które sumują się w generalnym stwierdzeniu, że w kulturze powiatowej, przede wszystkim zaś na wsi, nic się na lepsze nie zmieniło, bo niewiele się robi w tym kierunku. Rzecz jasna, stwierdzenie to bałamutne i krzywdzące działaczy kultury, ludzi częstokroć ciężko zapracowanych i godnych szacunku. Nikt przecież nie ośmieli się chyba powiedzieć, że sytuacja w kulturze miasta powiatowego i wsi — baza lokalowa i działalność — jest zadowalająca. A jeśli nawet znajdzie się taki radosny za wszelką cenę, rzeczywistość wyśmieje go haniebnie.

Więc można by w tym miejscu zacząć gawędę na temat przyczyn owych kłopotów, efektownie łapiąc „byka" za rogi: gminne spółdzielnie i gromadzkie rady narodowe za brak statutowej niejako troski o kluby „Ruchu" i „Rolnika"; powiatowe domy kultury za mizerną opiekę nad wiejskimi placówkami kultury i infantylno-galowy charakter działalności środowiskowej; przeróżne rady społeczne i powiatowe komisje kultury za brak inicjatywy; mieszkańców wsi za niechęć do kin z aparaturą 16 mm, a WZKin za to, że nie montuje na wsiach projektorów bardziej nowoczesnych; świetlice i kluby zakładowe za martwotę... W ten sposób można by tak przysolić niejednej instytucji, że nie obeszłoby się bez środowiskowej rozróby, sprostowań, rozprawy o zniesławienie etc. A życie potoczyłoby się swoją wyboistą drogą, za której zakrętem czai się nuda, brak wartości, pustka egzystencjalna i pijany cham.

Naszkicowane w pośpiechu przyczyny zła mają bowiem charakter wtórny, są w istocie następstwem znacznie głębszych procesów społeczno - kulturalnych i gospodarczych. Znaleźliśmy się na ostrym wirażu cywilizacyjnym, w momencie rozwoju obnażającego nieprzydatność pewnych struktur instytucjonalnych życia społecznego, które ponad dziesięć lat temu w miarę dobrze spełniały swoje zadania, wyrastały z oczywistych potrzeb tamtego czasu. Tylko te z nich, wówczas powstałych lub spontanicznie reaktywowanych, które były następstwem swobodnej inicjatywy społecznej, ewoluowały w sposób zgodny z rzeczywistym biegiem wydarzeń politycznych, ekonomicznych etc. Dobrym, aczkolwiek smutnym przykładem może być los lubelskiego ruchu regionalnego, skupionego w przeróżnych stowarzyszeniach. Rosły jak grzyby w lasach parczewskich — mniej więcej od schyłku lat pięćdziesiątych do połowy sześćdziesiątych, wydając sporo wartościowych i trwałych faktów, m. in. muzeum w Krasnymstawie, posiadające dziś 6 tysięcy eksponatów i prowadzące penetracje archeologiczne i etnograficzne w powiecie, nie mówiąc już o osiągnięciach Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego czy Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej. Od sześciu lat ruch regionalny na Lubelszczyźnie — nie licząc wyjątków — wegetuje, nie wskrzesił go ostatni zjazd wojewódzki w Nałęczowie, zakończony niejednym optymistycznym akcentem. Towarzystwa regionalne ograniczyły swoją aktywność, albowiem w klimacie połowy lat sześćdziesiątych nie było obszerniejszego miejsca na rozwój tego typu inicjatywy społecznej.

Natomiast struktury włączone w system polityki kulturalnej państwa wykazywały z natury rzeczy mniejszą podatność na zmiany, oporniej dostosowywały się do ciągle przecież nowej sytuacji społecznej. Przykładem Powiatowe Domy Kultury, które na naszych oczach zamieniły się w rodzaj artystycznych domów dziecka, wlokąc za sobą tyle jeszcze obowiązków, że nikt przy zdrowych zmysłach nie może wymagać ich rzetelnej realizacji. PDK, jak były, tak i pozostały — w zamyśle — placówkami wiodącymi i koordynującymi wszelkie poczynania kulturalne na terenie powiatów, co — biorąc pod uwagę sieć placówek k.o., możliwości kadrowe i finansowe domów kultury — przenosi ich funkcję ważnego ośrodka dyspozycyjnego kultury w rejony czystej i swawolnej imaginacji. Tym bardziej, że praktycznie nie mają żadnego wpływu na działalność placówek przyzakładowych, z których największe znajdują się z reguły w mieście powiatowym, co wcale nie znajduje potwierdzenia w zakresie i charakterze ich działalności, nie licząc wyjątków („niemniej jednak").

Prawda, resort kultury wielokrotnie podejmował próby dostosowania placówek terenowych do zmieniających się potrzeb społecznych, kilka lat temu powołano np. Gromadzkie Ośrodki Kultury, zreformowano działalność Wojewódzkich Domów Kultury pod kątem rozbudowy ich działalności instruktażowej, lecz w ślad za decyzjami organizacyjnymi nie szło odpowiednie wsparcie materialne i kadrowe, co szczególnie dało się odczuć w miastach powiatowych i we wsiach. Liczono przy tym na wyzwolenie i wsparcie inicjatywy społecznej, lecz nadzieje te tylko częściowo zostały spełnione. Przekonanie, że sprawy kultury należą do drugorzędnych w całokształcie rozwoju społecznego, nie wyssane przecież z palca, paraliżowało energię nawet autentycznych działaczy.

Sporo zastrzeżeń pozostawiał również system zarządzania kulturą na szczeblu powiatu, decyzją władz centralnych podporządkowany kilka lat temu wydziałom oświaty; ostało się tylko kilka samodzielnych wydziałów kultury. W takim układzie urzędnik do spraw kultury, zastępca inspektora oświaty Prezydium PRN, miał do pomocy, w najlepszym wypadku, pannę Krysię, czyli sekretarkę do powszednich i nadzwyczajnych poruczeń, dysponował zatem skromnym zasobem mocy potrzebnych do pełnienia funkcji programującej i koordynującej. Znając przy tym polski indywidualizm, przekonanie pierwszego lepszego prezesa gminnej spółdzielni, że nie święci kulturę wprowadzają w masy, łatwo wyobrazić sobie żałosną sytuację owego urzędnika, którego faktyczne możliwości zarządzania wyczerpywały się na mechanicznym często zatwierdzaniu planów poszczególnych placówek, takich, jak biblioteka powiatowa, dom kultury, muzeum, na dopilnowaniu urządzenia przez „pedek" okazjonalnej akademii, na godzeniu zwaśnionych i wydawaniu pozwoleń na występy przeróżnych combo-girls.

W 1971 r. przystąpiono do zmiany tego systemu, w 19 powiatach powołując Powiatowe Komitety Kultury i Sztuki, zorganizowane na zasadzie udziału społecznych i profesjonalnych działaczy kultury oraz przedstawicieli instytucji i organizacji, zajmujących się kulturą na marginesie swojej podstawowej działalności, takich jak „Ruch", PZGS, ZMW, ZMS, zakłady pracy, TWP. Jedynym etatowym członkiem Komitetu jest przewodniczący, pra-

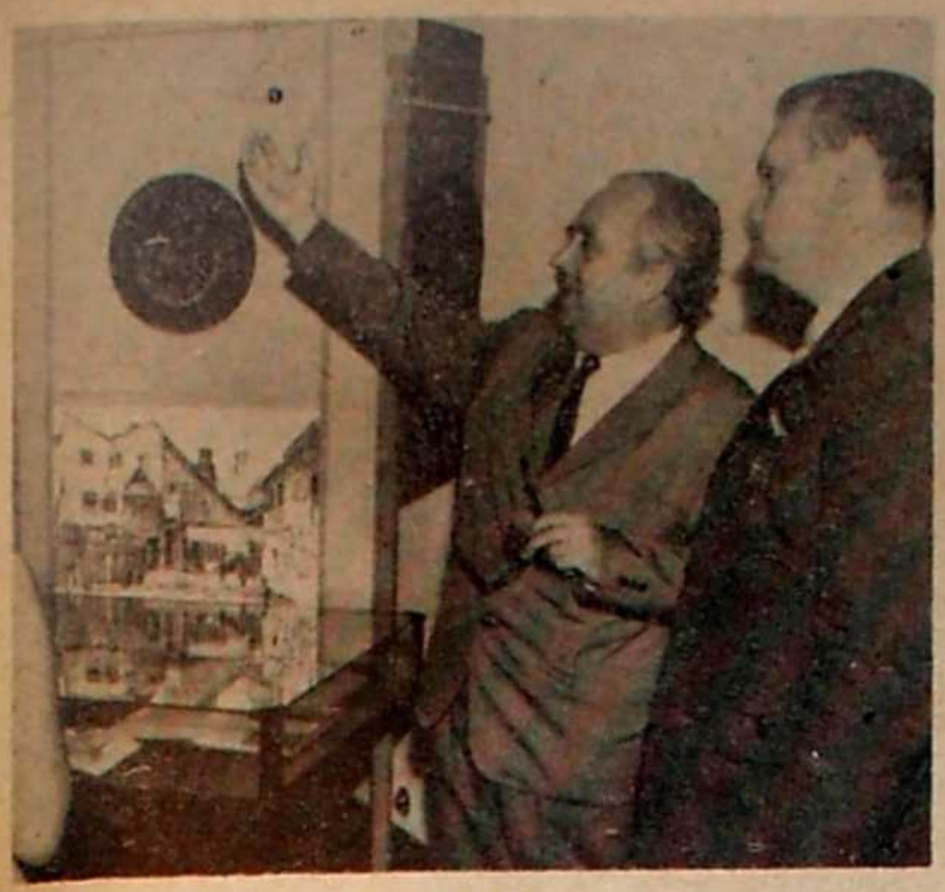

Mgr inż. Henryk Gawarecki w roli przewodnika po wystawie „Po Ziemi Lubelskiej" w maju 1971 r.

Fot. Archiwum

Zapytaj Gawareckiego

Jerzy Dostatni

W DZIENNIKARSKIM światku Lublina od wielu lat wiadomo, że gdy trzeba się dowiedzieć czegoś o przeszłości miasta lub o ciekawszych i mniej ciekawych zabytkach Lubelszczyzny — dzwoni się do pana inżyniera Gawareckiego. Najczęściej odpowiada natychmiast i bezbłędnie o faktach historycznych, wartości architektonicznej zabytku, życiorysie zasłużonego w przeszłości lublinianina, dawnych zwyczajach, obyczajach, niedyskrecjach i plotkach, wie, kto z kim i kiedy — chociaż nie zawsze dlaczego, jak z rękawa sypie anegdotami, niemal *zawsze ma* do dyspozycji jakieś stare zdjęcie, rysunek, tekst. Jego artykuły pojawiają się często w „Sztandarze Ludu", „Kurierze Lubelskim" i „Kamenie", od czasu do czasu w czasopismach centralnych, co miesiąc od dziesięciu lat wygłasza gawędy w rozgłośni lubelskiej Polskiego Radia. Gdy po zabytkach Lublina trzeba oprowadzić jakąś specjalnie ważną wycieczkę czy delegację — zaprasza się inżyniera Gawareckiego. Nie tylko wie tysiące rzeczy, ale potrafi przekazać je bardzo obrazowo, sugestywnie, własnym entuzjazmem zarażając słuchaczy.

A wbrew pozorom mgr inż. Henryk Gawarecki nie jest lublinianinem. Urodził się bowiem w dalekim Twerze, gdzie jego ojciec jako inżynier mierniczy-geodeta odbywał coś w rodzaju dzisiejszego stażu podyplomowego. Jak przez mgłę pamięta fragmenty Rewolucji Październikowej.

Równo przed pół wiekiem rodzina Gawareckich wróciła do kraju i osiedliła się w Lublinie. Właściwie przez przypadek. Ród bowiem wywodzi się z Mazowsza, a dziadek inżyniera, Wincenty był zasłużonym historykiem tego regionu, o czym świadczy tablica pamiątkowa, wbudowana w ścianę jednego z domów w Płocku, gdzie mieszkał. Ojciec zdecydował się na Lublin, tu bowiem pracował jego brat.

Młody Henryk zapisał się do gimnazjum humanistycznego im. Staszica, które wtedy mieściło się jeszcze przy ul. Narutowicza 12. Skończył je jako jedyny z uczniów tej klasy, który nie repetował. Do dziś z wielką wdzięcznością wspomina swoich nauczycieli: polonistę Piotra Krechowicza, który wprawdzie nie posiadał wyższego wykształcenia, ale potrafił nauczyć bezbłędnej ortografii, gramatyki i stylistyki, rzeczywiście zainteresować literaturą oraz nauczyć do dzisiaj pamiętanych wierszy; „Francuza" dr. Zengtellera, który stawiał uczniów tyłem do planu Paryża i kazał opowiadać po francusku, jak się idzie z Pól Elizejskich do Trocadero i co się wokół po drodze. Tadeusz Bochenski nie najlepiej uczył łaciny, ale wpoił uczniom zamiłowanie do mitologii i starożytnej sztuki.

Rodzące się już wtedy zainteresowania humanistyczne henryka pogłębiały się w czasie coraz częstszych wizyt u matki, Kazimiery, która pracowała w bibliotece Łopacińskiego i chętnie tam widziała syna, ucząc go umiłowania wartościowej i pięknej książki. Marginesowo warto dodać, że pani Kazimiera Gawarecka zaczęła studia mając już lat 60, co było konsekwencją wojny; w chwili obecnej ma 87 lat i właśnie podczas mojej wizyty u inżyniera nadeszła z warszawskiego kwartalnika „Archiwum Historii Medycyny" odbitka jej monograficznego artykułu o związanym z Lublinem lekarzu-społeczniku doktorze Stefanie Rudzkim. Żona inżyniera, Maria, od lat pracuje także w Bibliotece Łopacińskiego i również jest autorką wielu opracowań i artykułów. Nazwiska obu autorek można znaleźć także w „Kamenie". Córka Ewa jest biologiem, ale też utkwiła w bibliotece.

— Już wtedy, za gimnazjalnych czasów — wspomina inż. Gawarecki — zastanawiałem się, czy to jest w porządku stale tylko chodzić do biblioteki, a nie posiadać własnego zbioru? Zaczęło się chyba od 8 tomów „Nędzników" w tanim wydaniu po 95 groszy za tom, byłem niezwykle dumny z kolorowego atlasu motyli. Chciałem zacząć studia humanistyczne, ale ojciec przekonywał: kariery naukowej nie zrobisz — to było wtedy niezwykle trudne — zostaniesz belfrem i co dalej? Do końca życia uczyć cudze dzieci? Uległem namowom i zapisałem się najpierw na medycynę, ale po roku przeniosłem się na Wydział Inżynierii Wodnej Politechniki Warszawskiej. Ożeniłem się ze studentką historii, a ponieważ wuj żony był wtedy sekretarzem ambasady w Watykanie, zwiedzaliśmy oboje Włochy, Grecję i Turcję. Te podróże wzbudziły we mnie zainteresowanie architekturą — trudno przecież było pozostać obojętnym wobec piękna, pozostawionego przez przodujące w tej dziedzinie narody. Studia najpierw przerwała mi obowiązkowa służba wojskowa, a następnie wybuch wojny. Dzięki dziekanowi prof. Pożaryskiemu ukończyłem te studia podczas okupacji, ale dyplom dostałem dopiero w 1945 roku.

— Znamy się już, panie inżynierze, ponad 20 lat, ale nie słyszałem, aby pan pracował w tzw. swoim zawodzie...

— Tylko w czasie okupacji. Zdaniem Niemców — w Warszawie nie miałem czystej hipoteki, więc by nie robić im kłopotu swoją osobą przeniosłem się do Lublina. Ojciec mój był tu polskim naczelnikiem Okręgowego Urzędu Ziemskiego i wyrobił mi pracę w Urzędzie Gospodarki Wodnej. Jednakże polski szef tej placówki, żyjący do dzisiaj w Lublinie inż. K., nie miał poczucia humoru. Przy jakiejś okazji napisałem szopkę, śpiewając w niej nawet kilka kupletów. Naturalnie szef nie był przedstawiony w gładkim lustrze. Więc gdy tylko nadarzyła się sposobność, zostałem przeniesiony do Zamościa. Do dziś tego nie żałuję, bo poznałem to piękne miasto i zakochałem się w nim także. Pracowałem tam razem z dzisiejszym profesorem WSR Stefanem Ziemnickim. Naszym kierownikiem był Reichsdeutsch inż. Melkowski, podstawiony tam przez jedną z organizacji podziemnych. Krzyczał na nas ostro przy Niemcach, poza tym mieliśmy święte życie, zresztą prawie nic służbowo nie robiąc. Gdy zbliżał się front wschodni, przeniesiono mnie do Radomia, gdzie praktycznie moim głównym zajęciem była służba przeciwpożarowa na dachach. To nie było ani atrakcyjne ani bezpieczne, więc zwiałem do Warszawy, gdzie zresztą mieszkała żona.

— I trafił pan na powstanie...

— Nie tak od razu. Latem 1944 roku wyjechaliśmy do Nałęczowa, skąd wróciliśmy ostatnim już pociągiem. Byliśmy na Filtrowej, a więc w dzielnicy, którą Niemcy opanowali niemal natychmiast. Nie bez poważnych kłopotów, przy użyciu fałszywych świadectw o gruźlicy i pomocy ciotki-lekarki, wydostaliśmy się z obozu w Pruszkowie. Ale jeszcze przedtem widziałem, jak własowcy palili dom, w którym mieszkałem. Spłonęła wtedy doszczętnie cała moja pokaźna już biblioteka, pozostało mi z niej tylko pudełko popiołu, który troskliwie przechowuję. Myślę, że to nie tylko sentymentalizm.

Zaraz po przejściu frontu inż. Gawarecki znalazł się znów w Lublinie i otrzymał pracę w Wydziale Kultury i Oświaty Magistratu. Ówczesny kierownik Wydziału, żyjący do dzisiaj major Kwiatkowski, polecił nowemu pracownikowi sporządzić dokumentację na ośmiopiętrowy budynek, który miał stanąć na miejscu spalonego ratusza. Na szczęście, nic z tego nie wyszło. Już po 3 dniach, może z powodu opieszałości w wykonywaniu tego polecenia, inż. Gawarecki został przeniesiony do inspekcji budowlanej, którą kierował niezwykle zasłużony dla Lublina inż. arch. Ignacy Kędzierski. Mimo dużych wątpliwości, co do kwalifikacji na takie stanowisko, polecił nowemu pracownikowi prowadzenie kartoteki nieruchomości. Wkrótce okazało się, że obaj mieli wiele wspólnych zainteresowań i — trochę łamiąc zakres służbowych obowiązków — całe godziny spędzali wędrując po podziemiach Starego Miasta, myszkując po zabytkowych podwórkach i sieniach, chroniąc przed zagładą różne zabytki architektury.

Pewnego razu inż. Gawarecki poszedł na odczyt profesora historii sztuki na KUL-u, Mariana Morelowskiego, który po dyskusji na jakiś temat zaprosił go do domu, a potem namówił do objęcia stanowiska starszego asystenta w swojej katedrze. Ponieważ inż. Kędzierski właśnie przeszedł na emeryturę, a w katedrze chodziło głównie o zajęcie się sprawami zabytków — uległ. Profesor był człowiekiem mądrym, ciekawym, taki szlachcic starej daty, a więc i niezwykle gwałtowny. Po różnych scysjach ze studentami i innymi naukowcami przeniósł się do Wrocławia, a inżynier awansował na popularne wtedy stanowisko wykładowcy.

Ruchliwy z natury inżynier nie czuł się jednak zbyt dobrze w sztywnym schemacie uczelnianym, obwarowanym ścisłymi godzinami wykładów i ćwiczeń. Więc od 1 stycznia 1950 roku zostaje Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków i pełni tę funkcję przez lat 14, chroniąc, odbudowując, zbierając dokumentację i walcząc z licznymi ludźmi, urzędami i instytucjami, które w tym czasie nie miały zbyt wiele szacunku dla zabytków, pragnąc przez tzw. uuowocześnianie zamienić je w zwykłe budynki utylitarne.

Zbyt częste „nie" z powoływaniem się na ustawę o ochronie zabytków nie wszystkim się podobało, więc pod koniec 1963 roku inż. Gawarecki zostaje kierownikiem pracowni w Wiejskim Biurze Projektów. Przez cztery lata rysuje i liczy, a

Dokończenie na str. 10

Wstęp do lektury Czechowicza

Dokończenie ze str. 1

tym drugim wypadku można mówić o prawdziwym obcowaniu poetyckim. Tylko wtedy odkrywamy poetę.

Do satysfakcji, jakiej dostarcza to odkrycie, dochodzi coś, co można by nazwać „efektem przypadku". Polega on zarówno na tym, że zjawiska poetyckiego, które nas fraputje, nie możemy wydedukować z ogólnego tła procesów literackich i zawsze zaskoczy nas niespodzianka, jak również na tym, że nasz własny — czujemy, że trafny, bo estetycznie skutkujący — odbiór danego poety, nasze najwewnętrzniejsze z nim obcowanie zapisujemy na konto takiego szczęśliwego zbiegu okoliczności, jaki istnieje na przykład w miłości, w którym to uczuciu oprócz natężenia i głębi fascynuje nas fakt, że tę jedną jedyną osobę dane nam było spotkać na przestrzeni naszego czasu, w zasięgu naszego życia.

Nie ma też prawdziwego doznania poetyckiego bez uczucia wyłączności. Jakkolwiek adres poezji nie wyklucza nikogo z kręgu jej potencjalnych odbiorców, to jednak pojedyńczy czytelnik wiersza ma to przekonanie, że jest na dobrą sprawę jego czytelnikiem jedynym. Intymność przekazywanych treści sprawia wrażenie, że niemożliwością jest, by odbiór w postaci tak pełnej i czystej mógł się stać udziałem jeszcze innej indywidualności odbiorczej.

Jest także i wdzięczność. Znalazłszy określenie, zwrot, wiersz, który nas porozumiewa z autorem poza systemem utartych znaków językowych czujemy do niego wdzięczność za ryzyko, jakie podjął, rezygnując z gwarancji pewnego powodzenia na rzecz niepewnego natrafienia na ukryty nerw naszej wrażliwości. W tych momentach jesteśmy z poetą najbliżej. Zazwyczaj też zjawia się tu zachwyt nad otrzymanym imieniem wzruszenia, które nas nurtowało nie potrafiwszy się wykrystalizować, a w poetyckim określeniu znajdując tak wspaniały sygnał.

I rzecz dziwna. Owa estetyczna satysfakcja — to schwycenie niejako niepochwytnego nastroju w nazwę wcale go nie ustatecznia, nie odbiera mu właściwości dalszego pobudzania naszej wyobraźni. Między innymi na tym właśnie polega życie słowa poetyckiego, że stając się idiomem, terminem, obrazem, czy — jakby powiedział Przyboś — definicją nie więdnie w słowniku „aklasyfikowanych" wzruszeń, lecz nieustannie współżyje z naszym odkrywaniem świata.

Jednakże wszelkie orzeczenia dotyczące utworu poetyckiego jako faktu dokonanego bynajmniej nie są zbiorem wskazań poprzedzających akt jego narodzin. Urzeczywistnienie ich w wierszu odbywa się na drodze czegoś w rodzaju udanej niespodzianki, co nie może — niezależnie od zawartego w nim nastroju — nie wywołać uczucia radości. Udany efekt artystyczny jest zawsze temu uczuciu bliski, co zapewne czuli starożytni Grecy, skoro Radosną, bo Euterpe nazwali muzę pieśni lirycznej. Jeszcze na swego autora czeka rozprawa o smutku poetów. Chyba poważną rekompensatą w bolesnym doznawaniu świata była im ich własna twórczość, a może nawet podejmowali instrument minorowy dlatego, że na nim najszczęśliwiej spełniała się ich osobista wypowiedź. Nie znaczy to, że ich poezja dotknięta była tym, co zazwyczaj nazywamy kłamstwem sztuki, ale przy tak znacznym zaangażowaniu w pisarstwo, przy traktowaniu tej sprawy jako pierwszoplanową, wychodząca nawet przed powodzenie osobiste nie sposób artystycznie celnych dokonań nie uznać za powód, a nawet całkowitą treść zasadniczej życiowej satysfakcji. Pastuszek spowiadający swój smutek wierzbowej fujarce doznawał ulgi. Poeta zwierzający swoją rozpacz wierszom — radości. Analogicznie np. do fizyka atomowego, który nawet czując w swym organizmie obecność śmierci spowodowanej napromienianiem przeżywa akt szczęsnego uniesienia z racji dokonanego odkrycia. W jednym z najbardziej dojmujących i osobistych wierszy — w „modlitwie żałobnej" pisze Czechowicz:

jeść da nam takt pić da nam rytm
i do się utrzeźwić

Czyżby więc coś takiego, jak fortunny układ słów było w stanie skompensować wszystkie porażki poety? Ale weźmy pod uwagę, że chodzi tu o słowa konstytuujące nie tylko nowy fakt wzruszenia, lecz także nową postać filozofii, nowy rodzaj zwycięskiego rozrachunku ze światem. Tutaj nazwać równa się ująć, a ująć — przezwyciężyć. W błysku odkrycia mieści się wieczność, a tej nie można przepłacić. Jest coś anhellicznego w tym przynoszeniu (z nikąd?) z krainy poetyckich nawiedzeń nowych świateł, pragnień, tęsknot i niepokojów. Dekalogu nowych wzruszeń. Tu nie wystarczy być dobrym poetą. Potrzeba być czymś więcej: poetą.

Zygmunt Mikulski

cownik Prezydium PRN, i ewentualnie osoba prowadząca sekretariat. Tak szeroka reprezentacja społeczno-instytucjonalna ma na celu zespolenie wyników całego środowiska w działaniach na rzecz kultury, zobiektywizowania ocen i wniosków poprzez kolektywne podejmowanie decyzji, wprowadzenie planowania opartego na zhierarchizowaniu potrzeb całego powiatu i koordynację finansowania przedsięwzięć kulturalnych.

Na Lubelszczyźnie Komitety powołano w trzech powiatach: w Biłgoraju, Janowie Lub. i w Parczewie; ich eksperymentalna działalność ma dać odpowiedź na pytanie, czy ta forma zarządzania kulturą jest efektywniejsza od poprzedniej.

A więc odpowiedzmy — krótko, nie wdając się w analizy: w praktyce Komitety w minimalnym stopniu usprawniły kierowanie kulturą w powiecie. Planowanie odbywa się według starych zasad, jedynie w Biłgoraju spróbowano szerzej spojrzeć na zagadnienie, przeprowadzając sondaż potrzeb terenowych i możliwości ich zaspokojenia. Zadania Komitetów realizowane są przede wszystkim przez ich wąskie prezydium, złożone z osób profesjonalnie związanych z działalnością kulturalną i będących w bezpośredniej i formalnej zależności od przewodniczącego, reprezentującego lokalną władzę — PPRN; chodzi tu z reguły o kierowników PDK, biblioteki, muzeum. Przedstawiciele instytucji i przedsiębiorstw „niezależnych" — ZMW, „Ruch", ZMS, związki zawodowe — przyjmują decyzje Komitetu jako wiążące tylko w wypadku, gdy są one poparte zarządzeniami ich władzy zwierzchniej, co zresztą wynika z odpowiednich ustaleń prawnych. Zresztą przedstawiciele ci jakoś niechętnie uczestniczą w posiedzeniach Komitetu, co naświetla sprawę szerzej i pod dobrze znanym kątem. Wiceprezes biłgorajskiego PZGS uczestniczył tylko w jednym zebraniu — na liczbę siedmiu, które odbyły się do połowy tego roku, sześć innych osób opuściło połowę zebrań. W Janowie tylko połowa członków Komitetu zaznacza swój udział w jego pracach, w Parczewie kierownik kina nie orientował się nawet w składzie osobowym ciała, które faktycznie pracuje w trzyosobowym składzie.

Kto ma więcej pieniędzy, ten ma większe możliwości forsowania własnej polityki kulturalnej — twierdzi przewodniczący Komitetu w Biłgoraju, Kazimierz Buczek, człowiek znający się na rzeczy, obdarzony zdolnością widzenia kultury w szerokim kontekście potrzeb społecznych, absolwent polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. A w tej właśnie dziedzinie nowa instancja niczego korzystnego nie zdziałała, utrzymując się na poziomie dokonań wydziałów i referatów kultury. Pięknymi wysiłkami na rzecz gromadzenia środków finansowych dla potrzeb całej kultury w powiecie jak rządziły, tak nadal rządzą układy personalne, sympatie i antypatie prezesów, dyrektorów i kierowników — skutecznie zamaskowane brakiem zarządzeń wykonawczych co do przekazywania owych środków na cele wspólne. Apele Komitetu w Biłgoraju w sprawie wspomożenia Powiatowego Funduszu Rozwoju Kultury, skierowane do 30 zakładów i instytucji, spotkały się z pozytywną odpowiedzią jedynie pięciu z nich. Kilkanaście zakładów zasłoniło się głuchym milczeniem, nie kwapiąc się z jakąkolwiek odpowiedzią, choć wszystkim wiadomo, że chodzi o zgromadzenie pieniędzy na remont i modernizację Powiatowego Domu Kultury, będącego jedyną bazą lokalową dla publicznej działalności kulturalnej w tym mieście. Wiadomo przy tym, że w bieżącym roku zakłady pracy wydatkują około 700 tys. zł na zakup lub dopłaty do biletów wstępu dla swoich pracowników — na imprezy organizowane przez różne przedsiębiorstwa wojewódzkie. Jak tu się jednak dziwić, jeśli pewien kierownik zakładowego klubu myli Kotarbińskiego z wynalazcą mebli segmentowych, do tego na wysoki połysk.

Kto ma dużo pieniędzy ten może prowadzić własną politykę kulturalną, absolutnie nie licząc się z interesami całego miasta, jakby jego zakład pracy był pępkiem świata, on zaś sam — panią profesor Kłoskowską i dyrektorem Gywoniukiem w jednej osobie, czyli absolutną, teoretyczno-praktyczną, kompetencją. W rezultacie świetlice i kluby przyzakładowe rosną w liczbę, zatrudniając ludzi różnych, których pierwszą decyzją programową jest zachęcenie Rady Zakładowej czy KSR do wydatkowania 100 tysięcy na zakup gitar, kolumn i bębenków, które służą następnie młodym orkiestrantom — przez pół roku, rok, do chwili przeniesienia się muzyków-pracowników do innego zakładu, albo do wojska. Następcy nie chcą grywać na starych instrumentach, „bo gryf do innej ręki się przyzwyczaił". W jednym Biłgoraju, że powrócę do tego przykładu, w czasie 27 lat żaden zakład nie wydał bardziej trwałych czy choćby widocznych wartości i faktów kulturalnych; świetlice są miejscem narad i konferencji, a ile takich świetlic istnieje na Lubelszczyźnie? Najbardziej owocne okazały się natomiast inicjatywy międzyzakładowe, uruchomione drogą kontaktów nieformalnych, które przyniosły znany Chór Ziemi Biłgorajskiej Zw. Zawodowego Prac. Państwowych i Społecznych oraz Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Biłgorajskiej, składający się ze 100 osób, zatrudnionych w blisko 10 zakładach.

Takich spraw Komitety, na mocy swoich uprawnień, nie rozwiążą; problematyka ta leżała także poza zasięgiem możliwości referatów i wydziałów kultury. Prawdę mówiąc jedyną ważną i dodatnią stroną powołania Komitetów jest łatwiejszy dostęp przewodniczących do reszty członków tej instancji, głównie do tych, których zależność od Prezydium PRN jest znikoma. Wielką zaś i nieprzewidzianą szkodą — wyodrębnienie ich z wydziałów oświaty, prowadzące do utraceniu pomocy wielotysięcznej rzeszy nauczycieli we wsiach, bez których wszelkie działania kulturalne wydają się nie do pomyślenia. Głównie dotyczy to terenów gromadzkich rad narodowych, gdzie resort kultury jest za słaby, aby samodzielnie prowadzić skuteczną robotę. Byłaby ona możliwa przy odpowiedniej sieci GOK-ów z właściwą kadrą oraz przy ewentualnym utworzeniu w radach gromadzkich odrębnego stanowiska dla osoby odpowiedzialnej za sprawy kultury.

I tak dochodzimy ponownie do spraw kadry i bazy lokalowej kultury, a więc do rzeczy znanych z licznych gawęd na wiadome tematy. Na koniec przytoczmy jeszcze opinię doświadczonego człowieka, który zapytany o sens istnienia Komitetów odpowiedział: „Pozostały te same przeszkody formalne, prawne, te same możliwości finansowe, kadrowe i ta sama baza. O stanie kultury decydowali i decydują ludzie, a nie rzeczywistość formalna".

Ireneusz J. Kamiński

WYZNANIE

Aleksander Omiljanowicz

Opowieść poniższa jest prawdziwa. Dotrzymując słowa danego mojemu rozmówcy, zmieniłem nazwiska, pseudonimy i nazwy miejscowości, co — jak sądzę — Czytelnicy ze zrozumiałych względów mi wybaczą.

WIELE jest teraz wspomnień o starych działaczach partii, o ich zasługach. Nie sądzę, żeby ktoś miał takie wspomnienie sprzed lat o jednym z nich jak ja. A jest to wspomnienie człowieka, który wówczas stał po drugiej stronie „barykady". Pan jest pierwszym, który usłyszy ode mnie tę historię. Jest ona najprawdziwsza z prawdziwych i można ją nazwać rozmaicie, na przykład: „Drogi Polaków" czy „Losy ludzi". Zresztą to nie ma znaczenia.

Nie sięgając daleko w historię zacznę od września 1939 roku. Wcielono mnie do jednego z pułków piechoty, z którym doszedłem aż nad Bzurę. Była tam wielka bitwa, było wielkie cofanie się i wreszcie okrążona Warszawa. Tam biłem się z Niemcami do kapitulacji. Potem ucieczka, przedarcie się na Białostocczyznę, dom rodzinny. Ale ten okruch wspomnień jest tylko tłem do dalszego obrazu wydarzeń. Wspomnę tu jeszcze, że urodziłem się i młodość spędziłem w jednej z bardzo biednych i zacofanych wsi ziemi białostockiej.

W konspiracji znalazłem się jak tysiące innych. I nie użyję tu patetycznych słów, że „rwałem się do walki", „płonąłem nienawiścią", „zew ojczyzny"... Wszystko odbyło się bardzo zwyczajnie. Jeden z konspiratorów — podoficer — przyszedł do mnie i powiedział po prostu: — Chłopie, nikt ciebie nie uwolnił od przysięgi i nadal jesteś żołnierzem. Zawieszenia broni między Polakami a Niemcami nie było i trzeba ich tłuc...

A no, jak trzeba, to trzeba. Byłem kawalerem, nie miałem nic do stracenia. Poszedłem do lasu, do oddziału Armii Krajowej. W partyzantce różnie bywało. W każdym razie nie tak, jak w piosence, lub w cukierkowatych filmach telewizyjnych, gdzie partyzantka jest romantyczną przygodą. Był głód, wszy, choroby i strach przed śmiercią, która „kosiła niby łan". Były potyczki większe i mniejsze z hitlerowcami, wypady na osadników niemieckich, agentów, rozbicie paru posterunków żandarmerii. Byłem szeregowym partyzantem, uczciwie wykonywałem każdy rozkaz przełożonych, nie wnikając w jego treść.

Nadszedł pamiętny rok 1944. Miało być ogólnonarodowe powstanie, wielka „burza" i rozprawienie się z Niemcami, ale nie było nic z tych rzeczy. Tu i ówdzie oddziały nasze starły się z wrogiem, lecz już nadchodził front.

Ten wieczór na polanie w lesie zapamiętałem na całe życie, chociaż od tego czasu mija 28 lat. Wieczór był letni, cichy. Od wschodu narastał huk dział i frontu. Horyzont przysłaniały dymy pożarów. Siedzieliśmy na trawie i czekaliśmy na ostatnią odprawę. Jeden z wyższych oficerów AK długo i zawile tłumaczył nam sytuację polityczną. A więc, że Polskę wyzwolą Rosjanie, a nie Amerykanie i Anglicy. Że w Lublinie jest już jakiś komunistyczny rząd polski, że z Armią Czerwoną idzie też jakieś Wojsko Polskie. My tego nie akceptujemy, bo przysięgaliśmy rządowi londyńskiemu, a nie lubelskiemu, i za niego będziemy walczyć nadal.

Patrzyliśmy jeden na drugiego. Każdy był już nakarmiony partyzantką po uszy, ale nikt nie pisnął ani słowa, bo dyscyplina była bardzo surowa. Prowadzący odprawę rozwiązał oddziały. Mamy rozejść się do domów, broń ukryć, przeczekać najgorsze, a potem na zew stawić się w lesie i podjąć walkę na nowo. Zarazem zakazał surowo wstępować do Wojska Polskiego idącego z Armią Czerwoną.

Co działo się po tej odprawie, trudno opisać. Jedni partyzanci łamali karabiny o drzewa i odchodzili w las, inni płakali. Chciano nawet wystrzelać oficerów, którym zarzucano zdradę, kłamstwo. A ja...? Stałem pod sosną, paliłem skręta i bezmyślnie patrzyłem na polanę. Podszedł do mnie mój dowódca i zapytał: — Słuchaj „Kula", czy ty, stary żołnierz wykonasz rozkaz?... Odruchowo poderwałem się na baczność. Pogroził mi pięścią i rzekł:

— Pamiętaj co i komu przysięgałeś! Idź, odpocznij i czekaj na rozkaz. Nasza walka dopiero się rozpocznie...

Z mieszanymi uczuciami odszedłem do domu. Kolejny rozdział mego życia zamknął się. Przede mną był ten najtragiczniejszy i najciekawszy zarazem.

W domu zastałem wielkie zmiany. Prawie całą wieś spalili hitlerowcy. Ojciec został zamordowany podczas pacyfikacji, trzech braci siedziało gdzieś w obozach koncentracyjnych, przy matce były dwie siostry i najmłodszy brat. Na kilku hektarach piachów nie było dla wszystkich roboty. Zresztą i nie kwapiłem się do niej. W domu czułem się nieswojo i obco. Nie było o czym rozmawiać z rodziną. Lata partyzanckiej włóczęgi, pobyt w lesie, inne warunki życia wycisnęły na mnie swoje piętno. Ciągnęło mnie nadal do tego życia. Tak jak go przedtem nienawidziłem, jak pragnąłem powrotu do rodzinnego domu, tak teraz chciałem, by wróciło tamto.

Z nieufnością i nieukrywaną wrogością przyglądałem się nowej władzy, która powstała w gminie. Czytałem plakaty, gazety, których nigdy nie lubiłem. Było tam wiele wielkich słów: „Ziemia chłopom", „fabryki robotnikom", „bezpłatne nauczanie", „powrót nad Odrę i Bałtyk", „władza ludu"... Nie, to do mnie wówczas nie trafiało. Czytałem o tym jedynie po to, by umocnić siebie w dotrzymaniu przysięgi złożonej przełożonym. I czekałem na hasło powrotu.

A jakże, nadeszło. Wydobyłem z ukrycia broń, pożegnałem matkę i z ulgą poszedłem w las. Szedłem do lasu walczyć o inną Polskę. Jaką...? Nie, tego pytania wówczas sobie nie stawiałem. Miała być inna od tej ludowej, ale jaka...?

Na zbiórkę stawiło się nas kilkunastu. Wielu przybyłych nie znałem. Tym nowym przyglądałem się z ciekawością, bo nie wyglądali na partyzantów wojennych, którzy już proch wąchali, a raczej na zwykłych opryszków. Nie moją rzeczą było ich osądzać. Ja wykonałem rozkaz.

Przybył jakiś oficer, którego także nie znałem, podziękował nam za wierność ojczyźnie, trochę mówił o sytuacji politycznej. Jego mowa sprowadziła się do tego, że trzecia wojna niedaleko i o prawdziwą Polskę walka dopiero się rozpocznie. Potem otrzymaliśmy przydziały. Zostałem skierowany do bandyckiej grupy — bo trzeba to dziś tak nazwać po imieniu — w sąsiednim powiecie. Swego dowódcy nie znałem, jak zresztą wielu innych. Pseudonimy i wszystko.

Po raz trzeci zaczynałem wojaczkę: dwa razy z Niemcami, trzeci raz — przeciwko swoim, ale będącym po drugiej stronie barykady, po tej, której wówczas nie rozumiałem, bądź nie chciałem rozumieć.

Na pewno moja opowieść o bandyckich wyczynach naszej grupy byłaby ciekawa, ale w moim opowiadaniu nie to ma znaczenie. Były więc napady na posterunki MO, potyczki z wojskiem, rabunki i morderstwa także. Z okrutną nienawiścią dowództwo kazało nam zwalczać działalność PPR. Najpierw nie wiedziałem w ogóle, co to za skrót. Dowódca wytłumaczył mi krótko, że to są komuniści i trzeba ich zabijać.

Upływały miesiące. Wizja trzeciej wojny oddaliła się w nieskończoność. Dowództwo bandy mniej mówiło o Polsce, a więcej o intratnych rabunkach i zwykłym rozboju.

Rodziło się we mnie dziwne uczucie, myśli, którymi z nikim nie mogłem się podzielić. Zaczynałem dostrzegać bezsens tego, co czynię, przepaść, która oddzielała nas chociażby od chłopów, tych, którzy podczas wojny tak ofiarnie wspierali nas, partyzantów. Teraz wielu robiło to pod terrorem. Dlaczego nie zrywałem z tym wszystkim? Niełatwo na to odpowiedzieć. Oddziaływało na mnie wiele czynników: opaczne pojęcie honoru żołnierskiej przysięgi, wierności, dyscypliny, koleżeństwa, nawyk do takiego życia w czasie wojny, nienawiść do wszystkiego, co tchnęło nową władzą. Nienawiść zrodzona li tylko z propagandy, bo przecież ta władza nic mi złego nie wyrządziła. Nigdy w życiu nie rozmawiałem z żadnym działaczem partyjnym, nie miałem pojęcia, co ci ludzie reprezentują sobą. Dowództwo nazywało ich wrogami, a ja to przyjmowałem bezkrytycznie.

Zastępcą dowódcy naszej bandy był człowiek, którego nazwę umownie „Tok". Nikt w bandzie nie znał jego przeszłości i nazwiska. Był rosłym, dobrze zbudowanym mężczyzną około czterdziestki, miał trochę dziwny akcent, nigdy nie zwierzał się ze swoich przeżyć wojennych i uchodził za mruka. On zawsze wykonywał wyroki na członkach partii, milicjantach, on nieludzko torturował ludzi sprzyjających nowej władzy. Gotów był każdego zabić, podpalić, ograbić. Baliśmy się go jak ognia, bo kilku naszych, jakoby podejrzanych o chęć dezercji, „Tok" także rozwalił. Chodziły słuchy, że pochodził gdzieś z Wileńszczyzny, że był tam w AK u generała „Wilka" i ma zadawnione urazy do komunistów. Ale nikt tego nie próbował dociekać, bo w bandzie obowiązywał surowy zakaz interesowania się innymi. Czasem po pijanemu „Tok" zaczynał przeklinać nas po niemiecku, lub śpiewać hitlerowskie piosenki, co nas także nie dziwiło. Zapewniał, że pomoże pobić komunistów i wtedy wyjedzie na Zachód i będzie tam żył jak człowiek, bo on gwiżdże na Polskę, jakąkolwiek by ona była.

Nadszedł rok 1946, rok straszliwego terroru bandyckiego. Banda nasza topniała coraz bardziej, bo coraz częściej wpadaliśmy w zasadzki, w których wielu ginęło lub wpadało w ręce UB. Z kilkudziesięciu pozostała nas niecała dziesiątka, zdeterminowanych, gotowych na wszystko. Coraz więcej ludzi odwracało się od nas, bo swoją działalnością przynosiliśmy im nieszczęście. Nowa władza wbrew propagandzie podziemia i naszym przewidywaniom trwała i krzepła. Nie mówiliśmy już, że walczymy o coś, że mamy jakąś ideę. Chcieliśmy tylko przetrwać. Ale przetrwać, to znaczy doczekać czegoś. Czego my mieliśmy doczekać...?

Zginął nasz dowódca i komendę nad nami objął „Tok". Tu zaczyna się najciekawsza część mojej opowieści. Pewnego razu siedzieliśmy u meliniarza w kolonii Gaj i wtedy „Tok" wtajemniczył mnie w następującą akcję:

W gminie Lasowo miała się odbyć jakaś ważna narada, na którą mieli przybyć dygnitarze z powiatu. Jednym z nich miał być działacz PPR, którego nazwę tu Kowalewski. „Tok" opisał mi dokładnie budynek, gdzie będzie to zebranie, jak dostać się tam na strych, gdzie się ukryć i gdzie jest otwór, przez który mogę obserwować i słyszeć, co będzie mówione na zebraniu. Miałem wysłuchać całości narady, potem zastrzelić tego działacza partyjnego i korzystając z zamieszania zbiec. „Tok" z resztą bandy miał urządzić zasadzkę i gdyby nie udało się zastrzelić Kowalewskiego, zrobiłby to on, w czasie ich powrotu. Wysłuchałem tego w milczeniu i poszedłem wykonać zadanie.

Nocą przedostałem się na strych urzędu gminnego, odszukałem szparę w deskach i zająłem punkt obserwacyjny. Nadszedł dzień. Niewielka sala pode mną zaczęła zapełniać się chłopami. Potem usłyszałem warkot samochodu i głośną rozmowę przed budynkiem. Zrozumiałem, że to przybyli ci z powiatu.

Do salki weszło dwóch mężczyzn. Nie znałem ich. Usiedli przy stole i zaczęło się zebranie. Najpierw mówił wójt gminy, potem jeden z przybyłych, który był urzędnikiem starostwa. Chłopi siedzieli w milczeniu i nieufnie słuchali, a ja bałem się głośniej oddychać czy poruszyć, by mnie nie odkryto. Wreszcie przed zebranymi stanął ten działacz partyjny z powiatu, dla którego tu przybyłem.

Był to mężczyzna lat ponad czterdzieści, miał posiwiałe włosy i przedwczesne zmarszczki na twarzy. Widziałem go bardzo wyraźnie i mogłem zastrzelić bez pudła. Przedstawił się zebranym, powiedział, że jest działaczem partii, która nazywa się Polska Partia Robotnicza. Któryś z chłopów przerwał mu od razu i spytał, czy jest komunistą? Kowalewski odparł, że nie, nie zamierzył na to zaszczytne miano, chciał chciałby być prawdziwym komunistą. Popatrzyłem na niego z ironią i pomyślałem, czy tak samo odpowiadałby, gdyby wpadł w ręce „Toka"?

Chłopi kurzyli machorę i nieufnie, milcząco patrzyli na mówiącego człowieka. On nie przemawiał, była to zwykła — a raczej niezwykła — gawęda. Mówił, skąd pochodzi, jaką miał drogę życiową. Był pastuchem, parobkiem, wyrobnikiem i robotnikiem sezonowym w Prusach Wschodnich. Potem siedział w obozach koncentracyjnych. Życiorys taki jak mój i moich braci, pomyślałem z goryczą. Swój życiorys Kowalewski powiązał z sytuacją robotników i chłopów przed wojną. Dłużej zatrzymał się nad polityką sanacji, tragedią wrześniową. On także był żołnierzem Września.

Przyglądałem mu się coraz uważniej, coś zaczynało mnie fascynować w tym człowieku. Pierwszy raz słuchałem kogoś, kto reprezentował władzę, którą zwalczałem. Do tego słuchałem komunisty. Nie, to nie znaczy, że się z nim zgadzałem. On był działaczem PPR, a ja byłem bandytą, który mógł go w każdej chwili zastrzelić. Ale coś było w jego słowach, sposobie mówienia, czego nie umiem wytłumaczyć, a co przykuwało moją uwagę.

Widziałem przez szparę, że i chłopi słuchali go coraz uważniej. Potem zaczął mówić o wojnie, konspiracji, partyzantce. To już było coś z mojej branży. Po raz pierwszy usłyszałem wówczas, że w Polsce była i inna partyzantka niż AK, że była Gwardia Ludowa i Armia Ludowa. Usłyszałem, jak to było z powstaniem PPR. Kowalewski sypał faktami, nazwiskami, które mi nic nie mówiły. Oświetlał program tej partii i co z niego już zrealizowano. Ładnie i przekonywająco mówił o tym, ale ja pomimo wszystko poczytywałem to za zwykłą propagandę. Czekałem końca jego gadki, bo chciałem zapamiętać, kto zabierze głos i o czym będzie mówić, żeby dowódcy zdać dokładny raport.

Ale mówca nie kończył. Od spraw wielkiej polityki przeszedł do spraw powiatu, gminy. Mówił o zniszczeniach wojennych, odbudowie, tworzeniu nowego człowieka. Naraz wstrzymałem oddech. Rzecz szła o bandach, podziemiu, terrorze, morderstwach. Kowalewski wyprowadzał genezę bandytyzmu, mówił o bezsensowności bratobójczej walki. I naraz padł pseudonim mojego dowódcy — „Toka". Mówca spytał, czy chłopi wiedzą, kim jest z pochodzenia „Tok", ten morderca, rabuś, tak zaciekle zwalczający władzę ludową. Umilkł na chwilę, a mnie się zdawało, że nie doczekam się, kiedy on powie o nim. W gminie Lasowo mieliśmy jeszcze wśród chłopów najwięcej pomocników i meliniarzy.

Wreszcie Kowalewski wolno, dobitnie powiedział: „Tok" nazywa się Otto Wilkuschek, jest volksdeutschem ze wsi N. W czasie wojny był w jednym z powiatów Białostocczyzny, najpierw w Selbstschutzu, a potem Jagdkomandzie, które tropiło partyzantów AK. Brał udział w pacyfikacjach wsi, a między innymi wsi Wólka. Rozstrzeliwał ludzi...

— Nie, to niemożliwe — pomyślałem sobie. — A więc „Tok" pacyfikował moją wieś...?

— Przyjrzyjcie się, oto jego zdjęcie w mundurze hitlerowskim — rzekł Kowalewski i pokazał chłopom dużą, powiększoną fotografię Wilkuschka — „Toka". Chłopi zapomnieli o zgasłych papierosach, a Kowalewski opowiadał dalej, jak „Tok" umknął z więzienia, gdzie czekał na stryczek, jak trafił do bandy, został dowódcą, gdzie i za co kogo zamordował. Wszystko się zgadzało. Tak widziałem wielu z tych ludzi, których „Tok" określał jednym słowem: komunista, bolszewik, zdrajca i rozstrzeliwał, a ja biernie patrzyłem na to.

Starałem się odepchnąć od siebie to, co usłyszałem. — „A te przekleństwa po niemiecku, te germańskie piosenki, te błyski nienawiści w oczach, ten sadyzm przy przesłuchaniach i morderstwach, ta pogarda dla

Bułgarzy po polsku

Stefan Maciejewski

KULTURA polska za trzy lata obchodzić będzie swoistego rodzaju jubileusz: stulecie recepcji literatury bułgarskiej w Polsce. Tradycje przekładowe tej literatury sięgają bowiem roku 1875, kiedy to Seweryna Duchińska przełożyła na język polski pieśni ludu bułgarskiego. Ludu — dodajmy — który dopiero w trzy lata później odzyskał po pięciowiekowej niewoli tureckiej wolność.

Niepodległa Bułgaria — biedna, zacofana, o kulturalnym zastoju — natychmiast przystąpiła do nadrabiania opóźnień. Przed swą inteligencją postawiła zadanie stworzenia narodowej literatury.

W Polsce już w latach osiemdziesiątych XIX w. nie jest obce nazwisko Christo Botewa i Iwana Wazowa — najwybitniejszych twórców tego okresu. W 1899 r. — w pięć lat po jej napisaniu — ukazała się w Polsce słynna epopeja walk o niepodległość „Pod jarzmem" Iwana Wazowa. W 1903 wydano „Wybór nowel" tegoż autora.

Jednakże o względnie ciągłym ruchu przekładowo-wydawniczym bułgarskiej książki w Polsce możemy dopiero mówić po I wojnie światowej i odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Wówczas bowiem — dzięki oficjalnym i osobistym kontaktom literatów, naukowców i dyplomatów — wzrasta zainteresowanie bułgarską kulturą i literaturą. Następuje niejako jej odkrycie, w którym duże zasługi mają pierwsi tłumacze, jak Seweryna Duchińska, Helena Sopodźkowa, Józefa Anc, Jan Grzegorzewski, Halina Bychowska oraz naukowcy: prof. Tadeusz Grabowski i prof. Henryk Batowski. W okresie międzywojennym ukazało się na łamach prasy i w wydaniach książkowych szereg utworów literatury bułgarskiej, m. in. tak wybitnych pisarzy, jak Iwana Wazowa, Elina-Pelina, Jordana Jowkowa, a z poetów Penczo Sławejkowa, Pejo K. Jaworowa, Elizawety Bagriany, Dory Gabe i innych.

Zahamowany podczas drugiej wojny światowej ruch wydawniczy, rozwinął się ze zdwojoną siłą po jej zakończeniu. Dopiero bowiem w nowych warunkach ustrojowych można było tworzyć grunt planowej i systematycznej polityki wydawniczej i przekładowej. W 27 latach Polski Ludowej przełożono na język polski ponad sto książek z utworami najwybitniejszych beletrystów i poetów bułgarskich. Stanowią one panoramę dziejów, walk i przemian zachodzących w życiu Bułgarów od czasów najdawniejszych po dzień dzisiejszy. Bilans wydań książkowych dopełniają dziesiątki wierszy, nowel i fragmentów powieści, jakie drukowała w ciągu minionego ćwierćwiecza polska prasa literacka, że chociażby wymienić takie czasopisma, jak: „Nowa Kultura", „Życie Literackie", „Twórczość", „Kultura", „Kuźnica", „Współczesność", „Odra", „Argumenty", „Przyjaźń", czy też „Wieś". Szczególnie dużo miejsca poświęca prezentacji literatury bułgarskiej „Kamena", której związki ze środowiskiem literackim Bułgarii sięgają jeszcze lat międzywojennych.

Zacznijmy od prozy. W tej dziedzinie literatury ukazała się jedna antologia, 4 zbiory opowiadań, 51 powieści oraz 23 tomy opowiadań poszczególnych pisarzy bułgarskich.

W 1955 r. znalazła się na półkach księgarskich „Antologia noweli bułgarskiej XIX i XX w.", w wyborze i tłumaczeniu B. Ciriliča i H. Kality. Na 722 stronach antologii zostało zamieszczonych 49 nowel i opowiadań najwybitniejszych, bądź reprezentatywnych dla danego okresu pisarzy: od I. Wazowa, J. Jowkowa, L. Stojanowa, Elina-Pelina, G. Karasławowa, po pisarzy obecnie średniego pokolenia — K. Kalczewa, P. Weźinowa i in. Książka ta, z uznaniem przyjęta przez polskiego czytelnika, daje obraz dziejów Bułgarii od czasów niewoli tureckiej po okres międzywojenny i pierwsze lata budownictwa socjalizmu w Bułgarii.

Cztery lata wcześniej (1951 r.) ukazał się wybór 8 opowiadań współczesnych bułgarskich prozaików pt. „Karbonera". W tymże samym roku wyszedł drugi zbiorek opowiadań pt. „Skarb" zawierający utwory G. Karasławowa, L. Stojanowa, A. Karalijczewa i S. C. Daskałowa.

Rok 1952 przyniósł obszerny wybór opowiadań bułgarskich (tłumaczonych z jęz. rosyjskiego) zatytułowany „Na zakręcie". W tomie znajdują się opowiadania I. Wazowa, K. Belewa, Elina-Pelina, A. Karalijczewa, W. Wodeniczarskiego, J. Martinowa, Z. Srebrowa, S. C. Daskałowa i L. Stojanowa.

W 1967 r. wychodzi tom 23 opowiadań — w wyborze i tłumaczeniu J. Nurkiewicz — opublikowanych w Bułgarii w latach 1960—1966, pod tytułem „Gorące południe". Książka spotkała się z dużym uznaniem polskich czytelników, którzy znaleźli w niej utwory reprezentantów średniego i młodszego pokolenia pisarzy, m. in. opowiadania P. Weźinowa, S. Minkowa, E. Manowa, L. Galiny, N. Chajtowa.

Do wyborów prozy należy jeszcze dodać wydane w 1959 r. „Baśnie z bliska i z daleka" oraz ładnie zaprezentowany w 1964 r. (w zestawieniu i przekładzie H. Czajki) tom baśni ludowych pt. „Za dziewiątą górą, za dziewiątą rzeką".

W zakresie prozy powieściowej czytelnik polski otrzymał zestaw najwybitniejszych utworów od Iwana Wazowa począwszy, a skończywszy na tych, którzy debiutowali w ostatnich latach. Oczywiście, obok książek wybitnych znalazły się także — szczególnie w latach 1950—56 — książki artystycznie słabsze, a nawet całkiem słabe, które tak czytelników, jak i krytykę tamtych lat zniechęciły do bliższego interesowania się literaturą bułgarską. Trzeba było znacznych wysiłków, aby tę opinię zmienić. Ale tak na dobre to literatura bułgarska zaczęła zdobywać sobie polskiego czytelnika dopiero w ostatnim pięcioleciu.

A oto zestaw — w kolejności chronologicznej wydań — przetłumaczonych w ciągu 27-lecia powieści (pochyłym drukiem zaznaczone książki słabe).

Rok 1947: W. Genowska „Szklane mury"; 1949 — I. Wazow „Niemili i niekochani", G. Karasławow „Synowa", Elin-Pelin „Gerakowie" i „Ziemia", L. Stojanow „Mahmed Sinap"; 1950 — E. Manow „Niezwiązane pęta", I. Wazow „Pod jarzmem"; 1951 — *G. Belew „Złamaną igłą"*, Ch. Chalosew „Bunt 22 pułku piechoty", *S. C. Daskałow „Droga"*, K. Kalczew „W końcu lata", *Ch. Rusew „Nad urwiskiem"*, K. Wełkow „Wieś Borowo"; 1952 — A. Guljaszki „Ludzie

Polski...?" Zaczynało mnie drążyć zwątpienie.

Kowalewski mówił dalej o likwidacji band i podziemia, o tym, co będzie w gminie za rok, dwa, pięć. I mówił o tym tak prosto, swojsko, jak gospodarz, który wie, co gdzie posiać, posadzić, wybudować. Nie chłopom nie obiecywał, a mówił o wspólnej pracy, o ciężkiej drodze, którą trzeba przebyć.

Co działo się ze mną na tym strychu urzędu gminnego, tego nie wypowiem. Przeklinałem sam siebie w duchu, że tu przyszedłem, że to usłyszałem, że zobaczyłem człowieka, który o rzeczach wielkich, skomplikowanych mówił tak prosto, przekonywająco, z wiarą. On wierzył w to, co mówił, bo takich rzeczy nie mówi się bez wiary. Coś załamywało się we mnie, synu chłopskim, żołnierzu Września, partyzancie AK, a wtedy bandycie z szajki „Toka".

W powieściach piszą, że w życiu niektórych ludzi są takie przełomowe chwile, które zmieniają wszystko. Tak, wiem, że najprościej byłoby zejść wówczas ze strychu, stanąć przed Kowalewskim, powiedzieć, kim jestem, rzucić broń i przejść na drugą stronę barykady. Ale to byłoby zbyt proste i naiwne, a w życiu jest mało prostych i łatwych dróg.

Dyskusji i pytań chłopów prawie nie słuchałem. Przypominam tylko, że pytano Kowalewskiego, czy komuniści zamkną kościoły, czy żony będą wspólne i o inne takie brednie, na które on z humorem, acz logicznie, odpowiadał. Leżałem przykuty do szpary i patrzyłem na tego człowieka, którego miałem zabić, lub którego za godzinę, dwie, zabije „Tok". Może to właśnie brzmi naiwnie, ale modliłem się, żeby to nie nastąpiło. Ja, bandyta, modliłem się za działacza partyjnego, żeby on nie zginął z ręki mojej bandy!

Wreszcie zebranie dobiegło końca, salka opustoszała, samochód odjechał. Nadsłuchiwałem strzałów, ale ich nie słyszałem. Doczekałem nocy, wydostałem się ze strychu i ruszyłem na spotkaniem z „Tokiem" i resztą szajki. Na usprawiedliwienie, że nie zastrzeliłem Kowalewskiego miałem to, że była silna obstawa UB i MO. „Tok" siedział pijany przy stole i przeklinał po polsku, niemiecku, bo ci z powiatu, co prawda wpadli w zasadzkę, ale ostrzelali się, ranili jednego z naszych i uszli. Odetchnąłem. A więc Kowalewski żyje... Jeszcze nigdy tak uważnie nie przyglądałem się „Tokowi" jak wówczas. Przymierzałem go do munduru hitlerowca i do tego, co mówił o nim Kowalewski. Pasował mi coraz bardziej...

Wlazłem na strych, zwaliłem się na siano, ale gdzież mi było do snu. Łeb pękał od myśli, które niosły zwątpienie, nadzieję, czarną rozpacz, zlewały się w jeden chaos. Musiałem podjąć decyzję. Jaką...? Tej nocy zrozumiałem rzecz, zdawało się prostą, że prędzej czy później skończę w mogile lub w więzieniu, tak jak dziesiątki moich kamratów — opryszków. Nie chciałem żadnej z tych ewentualności. Musiałem znaleźć trzecie wyjście.

Gdy noc na strychu poszarzała, zdecydowałem się na ostateczność, nic bowiem już nie miałem do stracenia, a życie dawno przestałem cenić.

Wstałem wcześniej, przetarłem broń i byłem gotów. Po śniadaniu „Tok" wysłał pięciu bandytów na patrol. W chacie u melinarza pozostał tylko ranny bandyta leżący na strychu i drugi wartujący wokół zabudowań. „Tok" siedział przy stole w kuchni i przeglądał jakieś notatki. Jego automat wisiał na oparciu krzesła, a pistolet tkwił za pasem munduru. Uznałem, że czas, że dogodniejszy moment może się nie nadarzyć.

Podszedłem do wiadra, napiłem się wody, spojrzałem w okno, zerwałem z ramienia szybkostrzelny pistolet maszynowy i wymierzyłem w „Toka". Byłem od niego trzy metry. On jeszcze tego nie widział.

— Słuchaj, „Tok" — powiedziałem, a on podniósł na mnie zdziwiony wzrok — jeżeli się ruszysz, wpakuję ci w łeb cały magazynek, a wiesz, że celnie strzelam.

Widziałem jego oczy rozwarte strachem, wbite we mnie i palce zaciskające się kurczowo na stole.

— Czyś ty oszalał! — wykrztusił wreszcie.

— Nie, słuchaj uważnie — odparłem. — Jeżeli odpowiesz mi szczerze, może będziesz żył.

— O co ci chodzi! — ryknął.

— Ciszej, i nie ruszaj prawej ręki — ostrzegłem go — bo nacisnę cyngiel. Powiedz, czy ty nazywasz się... Otto Wilkuschek...

Drgnął, jakby go ktoś chlasnął batogiem, odruchowo chciał wstać, ale opanował się i milcząco patrzył na mnie.

— Pytam cię dalej — mówiłem — czy byłeś w Selbstchutzu i Jagdkomandzie w powiecie N? Czy tropiłeś partyzantów?

Widziałem, jak jego czerwona twarz stawała się ołowiano-szara, a oczy wbite w wylot lufy mojego peemu zwężały się w szparki. Długo nic nie odpowiadał, tylko tak patrzył na mnie, a ja czułem jak palec drży mi na cynglu.

— Potwierdzasz, czy zaprzeczasz? — przynaglałem. — Liczę do trzech i przestrzelę cię ołowiem.

— Ale skąd ci to przyszło do głowy, o co ci chodzi? — wyrzucił z siebie jednym tchem.

— Nie ty pytasz. Odpowiadaj, liczę. Raz...

— No dobrze... nazywam się tak, ale co z tego? Czy źle teraz biję komunę? Źle wami dowodzę? Jeden nasz los, jedna droga, co było to przeszło...

— Dobrze. A powiedz mi jeszcze jedno. Czy ty byłeś jak hitlerowcy palili i rozstrzeliwali mieszkańców wsi Wólka?

— Byłem przy tylu wsiach, więc chyba i tam... — odparł i uniósł dłoń jakby chciał potrzeć czoło.

To, co nastąpiło dalej rozegrało się w ułamkach sekundy. „Tok" całą siłą pchnął stół w moją stronę i wyrwał zza pasa pistolet. Przewidywałem to, ba, nawet oczekiwałem tego, żeby mieć ułatwione zadanie. Znałem go zbyt dobrze i wiedziałem, że nie da się zgładzić bez walki.

Okazałem się szybszy. Seria kul, która z mojego peemu łupnęła w „Toka", rzuciła go pod ścianę. Wyrok wykonałem do końca... Zabrałem jego torbę z dokumentacją bandyckiej działalności i odszedłem.

Odchodziłem od czegoś, co pozostawało za mną jak koszmar, co wybrałem dobrowolnie i co znałem zbyt dobrze. Szedłem ku czemuś nowemu, ale zarazem nieznanemu, niepewnemu.

Późną nocą piekielnie zmęczony dobrnąłem do miasta powiatowego N. Peem miałem ukryty pod kapotą. Każdy napotykany przechodzień trwożył mnie, bo zdawało mi się, że mam w sobie coś, co pozwala rozpoznać we mnie bandytę. Przed urzędem pocztowym stałem chwilę niezdecydowany. Wreszcie pchnąłem drzwi i wszedłem. Zaspana telefonistka przyglądała mi się podejrzliwie. Zapytałem o numer telefonu Kowalewskiego. Podała mi go niechętnie. Wszedłem do kabiny i zadzwoniłem. Długo nikt nie odpowiadał, bo było późno, aż wreszcie usłyszałem jego głos. Upewniłem się, czy to na pewno on i powiedziałem cicho, wyraźnie: „Tu mówi bandyta „Kula" z bandy „Toka". Mam coś ważnego do zakomunikowania. Chcę rozmawiać tylko z panem. Wyłącznie osobiście". Kowalewski milczał chwilę, a potem spytał, czy jestem sam. Potwierdziłem. — Dobrze — odpowiedział po chwili namysłu — czekam na pana, a trafić do mnie łatwo. Podał ulicę i numer domu.

Biegiem pognałem opustoszałymi uliczkami i odszukałem dom, gdzie mieszkał. Zapukałem. Byłem ciekaw, czy powita mnie z bronią w ręku? Otworzył drzwi i zaprosił do pokoju. Broni nie miał. Patrząc uważnie na mnie wyciągnął rękę, co mnie bardzo speszyło.

— Siadajcie, niech pan siada — wskazał krzesło. Bez słów rozpiąłem kurtkę, zdjąłem z szyi peem, wyciągnąłem zza pasa dwa pistolety, z kieszeni granaty i odłożyłem to na kanapę stojącą obok. Kowalewski patrzył z zainteresowaniem na moje czynności.

— Panie Kowalewski — rzekłem — przepraszam, że mówię panie, może...

— Nie, proszę mówić do mnie jak to panu odpowiada — odparł.

— A więc, panie Kowalewski, dziś rano zabiłem dowódcę bandy „Toka", czyli Ottona Wilkuschka. Oto jego bandyckie archiwum — położyłem na stole pękatą torbę — którego zawartości nie znam. Pan pierwszy się o tym dowiaduje.

Kowalewski zerknął na torbę, potem dłuższą chwilę patrzył mi w oczy, wreszcie spytał, dlaczego to uczyniłem, co kierowało mną, by zabić „Toka" i przyjść właśnie do niego. Odpowiedziałem, że długo by o tym gadać, więc streszczę krótko: zabiłem go dlatego, że wczoraj słuchałem pana przemowy do chłopów, tam w urzędzie gminnym Lasowo... — Pan był na tym zebraniu? — spytał zaciekawiony. — Byłem. Nie na sali, a ukryty na strychu. Widziałem i słyszałem wszystko dobrze i miałem rozkaz... zastrzelić pana...

Kowalewski spojrzał na mnie jeszcze uważniej. Ustyszał, że śmierć swoimi skrzydłami otarła się o niego, ale to nie wyprowadziło go z równowagi. Popatrzył tak chwilę i odparł spokojnie: — W pana oczach uchodzę za komunistę. Komuniści stale znajdują się w walce, a w walce ofiary są rzeczą zwykłą. Za pana strzelali do mnie wczoraj inni, ale też chybili.

Z coraz większym podziwem patrzyłem na tego człowieka. Odpowiedziałem mu ogólnie, co uderzyło mnie w jego rozmowie z chłopami i że od niego po raz pierwszy dowiedziałem się, kim jest naprawdę bandyta „Tok". Kowalewski spytał mnie, czy napiję się herbaty i czy jestem głodny. Zażenowany odmówiłem, chociaż kiszki grały mi marsza. Prosił więc, żebym opowiedział mu o sobie wszystko szczerze, tak od serca. Pomimo moich protestów zaparzył herbatę.

Najpierw trochę nieśmiało, potem coraz namiętniej opowiadałem mu o mojej rodzinie, wsi, którą pomagał hitlerowcom spalić „Tok", o swoim życiu, walkach wrześniowych, partyzantce AK i o tym, dlaczego znalazłem się w bandzie. Na pewno byłem dla niego niezwykle ciekawym okazem chłopa, który zbłądził na manowce bandytyzmu, a teraz — jak marnotrawny syn — wracał na ojczyzny łono. Nic nie notował, czasem tylko rzucał jakieś pytanie i słuchał. Ale jak on potrafił słuchać! Gdy milkłem, zaczynał mówić on. I o doli chłopa, którego przez stulecia okłamywano i oszukiwano. Mówił o AK i o wielu sprawach drażliwych, bolesnych, a dla mnie wówczas zupełnie niezrozumiałych.

Noc zaczęła szarzeć, w popielniczce przybywało niedopałków, a my rozmawialiśmy. Kowalewski nie przekonywał mnie, nie nawracał na ideę, którą reprezentował. On po prostu mówił o tym, co było, co jest, dokąd my, Polacy, idziemy i jaka jest w tym dalszym marszu rola partii, którą reprezentował. Daleki byłem wówczas od tego, żeby to wszystko należycie rozumieć. Myślami tkwiłem jeszcze w dniu wczorajszym. Ale ze mną nikt nigdy tak nie rozmawiał.

Proszę wczuć się w tę scenę owej nocy rozgrywającą się w tamtym pokoju. Za stołem siedziało dwoch ludzi pijących herbatę i zda się gawędzących towarzysko. Jeden, działacz partyjny, człowiek prawy, świadom celu, do którego szedł śmiało przez życie. Drugi, zbłąkany w zawierusze historii chłop, bandyta z lasu, który jeszcze wczoraj zwalczał to wszystko, nienawidził tego wszystkiego, co reprezentował ten pierwszy. Ba, szedł go zabić. Czyż nie jest to wymowna scena...?

I trwała ta nocna rodaków rozmowa — roku 1946 — do rana. I zostało powiedziane chyba wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia. I zrozumiałem wówczas wiele.

Rozwidniło się zupełnie. Kowalewski zapytał, co chcę teraz zrobić ze sobą? Wzruszyłem ramionami.

— Może chce pan wrócić do lasu? Proszę bardzo, ale i tak pan wróci do nas, bo ta władza jest tak samo moja, jak i pana...

— Nie, do lasu nie wrócę — odpowiedziałem cicho.

Kowalewski położył przede mną chleb i kiełbasę, wskazał kozetkę i powiedział, żebym odpoczął sobie cały dzień, bo on jedzie do gminy N. na rozmowę z chłopami. Uprzedził go, że tam grasuje jedna z grożnych szajek bandyckich, która poluje na niego. Odparł, że wie o tym, ale tam chłopi czekają na szczerą rozmowę i on nie może ich zawieść. I poszedł.

Zostałem sam w jego mieszkaniu, rzuciłem się na kozetkę i rozryczałem się jak szczeniak. Mniejsza o to, dlaczego płakałem. Kowalewski wrócił późnym wieczorem zmęczony, ale zadowolony, bo rozmowa z chłopami była bardzo ciekawa. Przegadaliśmy jeszcze kilka godzin. Potem wręczył mi papierek, na którym napisał i potwierdził partyjną pieczęcią, że ja, taki to a taki, jestem znany mu, że złożyłem broń i on gwarantuje, że rozpocznę uczciwe życie. Miałem rozpoczynać je w jednym z miast na Mazurach, tak mi doradził.

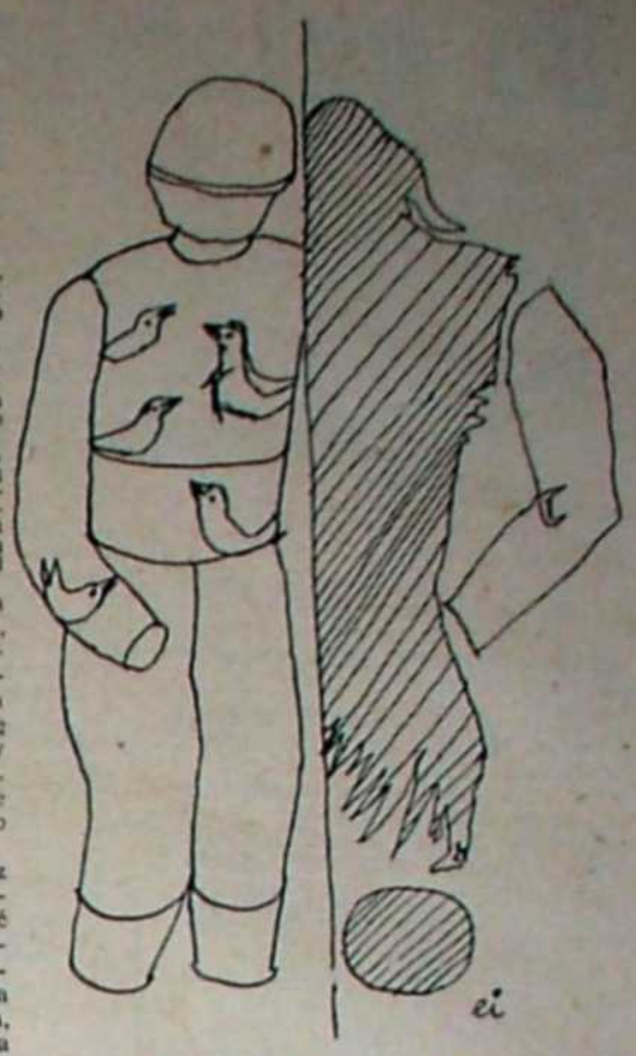

Rys. E. Inglot

Wstaliśmy zza stołu. Chwilę patrzyliśmy na siebie, a potem twardo po męsku, bez słów, uścisnęliśmy sobie ręce. Odprowadził mnie do drzwi i rzekł:

— Przed panem prosta droga do dworca. Wierzę, że po tym wszystkim pan już chyba potrafi ułożyć sobie życie.

Poszedłem tą prostą drogą nie tylko do dworca... Dużo by mówić, co jeszcze przeżyłem. Ale z chłopskim uporem szedłem jednak ciągle naprzód. Ukończyłem szkołę średnią, długo studiowałem zaocznie. A Kowalewski? Od czasu do czasu pisaliśmy do siebie. Ot, zwykłe słowa pozdrowień i grzeczności. Starałem się nie tracić go z oczu. Wiedziałem, że przeżywał także wzloty i upadki, jak to w różnych okresach powojennej rzeczywistości bywało. Nie spotkałem go już nigdy, bo mieszkaliśmy od siebie daleko i nasze drogi się nie schodziły. Zresztą nie wiem, czy potrafilbym z nim po raz drugi rozmawiać. Wiedziałem, że ciężko chorował, że odszedł na rentę. Zmarł niedawno, wyczytałem to w prasie. Pojechałem na pogrzeb.

Chowano go w małej miejscowości, gdzie wszyscy go znają, a więc nieliczne grono uczestników pogrzebu z ciekawością przyglądało mi się, nie wiedząc, kto zacz. Słuchałem przemówienia nad jego grobem. Powiedziano tam wiele wielkich słów ale moim zdaniem żadne z nich nie oddawało prawdziwej wielkości tego Człowieka, jego wiary w ludzi. Na jego mogile położyłem wiązankę czerwonych róż i już prawie wszyscy się rozeszli, a ja stałem tam i myślałem o nim, o sobie i o tym, co by było, gdybym go w życiu nie spotkał. Ktoś podszedł do mnie, przeprosił i spytał, kim jestem dla zmarłego? Odpowiedziałem, że nikim, ale znałem Kowalewskiego, bo dawno temu on wyciągnął mnie z pewnej topieli, gdy tonąłem. Z topieli historycznej — dodałem — i nie tylko mnie.

W zamyśleniu opuściłem cmentarz i postanowiłem opowiedzieć panu tę historię o Prawdziwym Człowieku.

---

i myszy" oraz „Ślady na śniegu", M. Marczewski „Błękitne skały", *G. Belew „Nowi ludzie"*; 1953 — *S. Ninow* i *B. Botew „Zawsze ze Stalinem"*; 1954 — S. C. Daskałow „Młyn Lipowańskiego", K. Kałczew „Żywi pamiętają"; 1955 — I. Martinow „Drawa", 1956 — D. Dimow „Tytoń", G. Karasławow „Prości ludzie"; 1959 — J. Jowkow „Zniwiarz" i „Zbrodnia Iwana Belina"; 1960 — *A. Kamenowa „Grzech Charitiny"*; 1962 — A. Guljaszki „Kontrwywiad", *E. Kolarow „Perunika"*, *I. Martinow „Wanko"*, *N. Meseczkow „Bengo"*, E. Stanew „Wojna z aniołem"; 1965 — D. Talew „Żelazny kaganek", G. Markow „Mężczyźni", *R. Ignatow, „Skrawek nieba dla trzech"*; 1966 — K. Kałczew „Dwoje w nowym mieście", M. Grabczewa „Na pogórzu Bałkanów"; 1967 — A. Donczew „Czas wyboru"; 1968 — E. Konstantinow „Chrzest"; 1969 — *G. Borow „Asy na start"*, *M. Radew „W sobotę wieczorem"*, A. Karasimenow „Tak bardzo pożądane przyjaźnie", G. Stoew „Cena złota", K. Malina „Złote serce"; 1970 — G. Markow „Sanatorium doktora Gospodowa", B. Dymitrowa „Podróż do siebie samej"; 1971 — B. Dymitrowa „Objazd", W. Stamatow „Wyspiarze"; Ludmił Stojanow „Cholera".

Które z wymienionych książek powinien przeczytać miłośnik dobrej literatury? Na pewno nie zawiedzie się na powieściach: „Cena złota", „Mahmed Sinap", „Ślady na śniegu", „Wojna z aniołem", „Mężczyźni", „Dwoje w nowym mieście", „Czas wyboru", „Sanatorium doktora Gospodowa", „Objazd", „Cholera".

A oto zestaw tomów opowiadań poszczególnych pisarzy: Rok 1949 — I. Wazow „Nowele"; 1950 — Elin-Pelin „Rodzinne gniazdo", S. C. Daskałow „Wielkie święto Gjoszki" (dla dzieci), P. Weżinow „Druga kompania"; 1951 — I. Wazow „Opowiadania i artykuły 1856—1921" i „Wybór opowiadań", S. C. Daskałow „Bez miedzy", K. Grigorow „Ludzie z nowego domu", G. Karasławow „Historie wiejskie" i „Wieś w słońcu"; 1952 — K. Grigorow „Nad wsią widnieją wzgórza"; 1953 — I. Martinow „Górnicy i inne opowiadania"; 1955 — A. Segrenski „Jasna droga"; 1956 — Elin-Pelin „Orle pióro i inne opowiadania"; 1960 — S. Minkow „Alchemia miłości i inne opowiadania"; 1961 — E. Stanew „Smutna miłość", A. Karalijczew „Worek z tykwami"; 1963 — B. Rajnow „Noc na bulwarach"; 1969 — J. Radiczkow „Blaszany kogucik i inne opowiadania"; 1970 — P. Weżinow „Zapach gorzkich migdałów"; 1971 — N. Chajtow „Dzikie opowiadania"; 1972 — B. Rajnow — „Moja nieznajoma". Szczególnie godne są polecenia opowiadania Chajtowa, Minkowa, Karalijczewa, Stanewa i Radiczkowa.

•

W miarę bogato prezentuje się również poezja bułgarska w polskich przekładach. Wprawdzie osobnych tomów poezji doczekało się zaledwie 6 poetów, ale za to wydane w Polsce antologie dały obszerny zestaw dorobku i osiągnięć współczesnej poezji bułgarskiej od jej początków aż po dzień dzisiejszy.

W 1954 r. została wydana „Antologia poezji bułgarskiej" w opracowaniu S. Pollaka, która na 350 stronach zawiera wiersze całej plejady poetów od Ch. Botewa, I. Wazowa, P. Sławejkowa, D. Debelianowa, L. Stojanowa, po poetów obecnie średniego pokolenia — B. Bożiłowa, B. Dymitrowej i innych.

W 1967 r. Jerzy Lan dokonuje wyboru wierszy młodych (znaleźli się tu poeci, którzy debiutowali w ostatnim dziesięcioleciu) i wydaje je w zbiorze zatytułowanym „Winnice słońca". Książka bardzo szybko zniknęła z półek księgarskich, podobnie jak i wydana w roku następnym antologia współczesnej poezji bułgarskiej pt. „Ziemia gorąca". Antologia ta doczekała się niezwykle wysokiej oceny ze strony zarówno krytyki, jak i czytelników, podkreślających wielki artyzm utworów, wysoki kunszt tłumaczeń i piękną szatę graficzną. Wyboru wierszy dokonała poetka i znakomita tłumaczka poezji bułgarskiej Anna Kamieńska i A. Stern, a tłumaczyli, obok nich, najwybitniejsi polscy poeci. Antologia stanowi panoramę poezji dziewięćdziesięciu ostatnich lat, od Ch. Botewa, aż po poetów najmłodszego pokolenia, że wymienić chciałby W. Petkową.

Równie niemałym osiągnięciem przekładowym i edytorskim było wydanie w 1956 r. przez A. Kamieńską i J. Śpiewaka bułgarskiej pieśni ludowej pt. „Oj, lesie, lesie zielony". Trafnie dokonany wybór utworów daje polskiemu czytelnikowi możność zapoznania się z bogatą i oryginalną twórczością, która w życiu bułgarskiego narodu odegrała ogromną rolę, zastępując przez całe wieki niewoli turecką literaturę w ściślejszym tego słowa znaczeniu i zaspokajając potrzeby duchowo-kulturalne społeczeństwa.

W 1960 r. ukazała się niewielka książeczka, a raczej broszura pt.

Dokończenie na str. 10

Andreana Radewa

Wiersz ze snu

Ja chciałam abyś był jak słońce w górze,
abyś był dniem, abyś był całą dobą,
byś był miłością rzeźbioną w marmurze
i pleśnią, której szukam razem z tobą.

Na twym ramieniu chcę się budzić rano,
lepszą, jaśniejszą niech mnie czas uprzędzie,
i nasza miłość gwiazdą niech się stanie
w naszych niebiosach, kiedy nas nie będzie.

Wpatrzeć się w ciebie pragnę niby w słońce
byśmy ruszyli oboje przez lata,
jedno przy drugim w południe gorące
siejąc, zbierając w wędrówce skrzydlatej.

Abyśmy, w zołzy, nie zauważyli
jak niespodzianie wieczór się nachylił.

Damian P. Damianow

Między dniem a nocą

Już z morzem z wolna zmierzch się zlewa.
Nad brzegiem lekko zmrok zapada.
Wplątany w gąszcz, w zielone drzewa,
nad światem płynie smutek blady.

I wszystko nowy sens zdobywa.
W zadumie trwam przed bliską nocą;
znów jestem smutny. Coś odpływa.
I płaczę, chociaż nie wiem, po co.

Tłumaczył z bułgarskiego
Tadeusz Ross

Do ostatniego żołnierza

Stanisław Truszkowski

NA polanie leśnej, zasłanej strąconymi przez pociski liśćmi i połamanymi gałęziami — dowódca 1 Dywizji Piechoty Legionów — generał Kowalski. Obok — oficerowie sztabowi oraz dowódca artylerii pułkownik Czerwiński. Na trawie — ranny pułkownik Burczak.

Właśnie wyrwali się z okrążenia. Ustalić straty, poniesione w toku dwudniowych walk z hitlerowskimi czołgami, piechotą i lotnictwem — na razie nie sposób.

Dwaj oficerowie baterii przeciwlotniczej składają generałowi raport po bitwie. Bateria straciła ok. 30 proc. stanu osobowego, w tym dowódcę i trzech oficerów. Niemcy uszkodzili kilka wozów ciężarowych z ładunkiem i jedno działo. Brak amunicji: wystrzelana do ostatniego pocisku. Benzyna na wykończeniu.

Generał słucha uważnie. Pada rozkaz:

— Zniszczyć wszystkie działa i ciągniki. Wozy osobowe — przekazać do sztabu dywizji. Benzynę przelać do lżejszych wozów. Pan — wskazuje ręką na wyższego wzrostem oficera — obejmie komendę nad obsługą. A porucznik — zwraca się do niższego — nad taborem. Lekkie wozy natychmiast przygotować do drogi. Gotowość marszowa — meldować.

Zapada zmrok. Generał odjeżdża do majątku Platerów. Podporucznik Śniatycki z baterii przeciwlotniczej kieruje się w stronę Chełma, gdzie znajduje się właśnie dowództwo armii. Wiezie raport generała.

Tragiczny to raport. Generał, wstrząśnięty biegiem wydarzeń, żąda wszczęcia przeciwko sobie dochodzenia. Chce, aby ustalono powody, dla których nakazany odwrót dywizji nie został z powodzeniem dokonany.

Ale dowódca armii wie, że jeśli są jacyś winni temu, co się stało, należy ich szukać gdzie indziej. Sztab Naczelnego Wodza nakazał dowódcom armii bić się z wrogiem, by jak najbardziej wykrwawić przeciwnika. Dywizja generała Kowalskiego to zadanie wypełniła, trudno więc mówić o dochodzeniu, trudno ustalać powody. Wszystko jest w porządku. Jest, bo inaczej być nie może.

19 września. W wiejskiej chałupie pod Hrubieszowem — ostatnia odprawa dowódców wszystkich stopni z pułków 1 Dywizji Piechoty Legionów. Dywizja, która nad Narwią liczyła 16 tysięcy żołnierzy i 48 armat, teraz ma w swoich szeregach tylko 2 tysiące ludzi i 10 armat.

Generał Kowalski mówi:

— Kapitulować przed Niemcami nie będziemy. Aktem kapitulacji nie zakończymy historii naszej dywizji. Niech w szeregach pozostaną tylko ochotnicy. Ranni i słabi — w lesie, pod opieką sanitariuszy.

Cisza. Obecni ważą decyzję generała. I wreszcie ciszę przerywa kapral podchorąży rezerwy. Głowę ma zawiniętą zabrudzonym bandażem, twarz jego płonie gorączką. Ranny prosi o zostawienie go w szeregach. Chce walczyć dalej. Do niewoli nie pójdzie. Popiera go ranny pułkownik Burczak. Generał zastanawia się i mówi:

— Dobrze. Niech lżej ranni pozostaną w szeregach. A za ochotników uważam wszystkich. O świcie dywizja rusza na południe.

Ze wspomnień oficera rezerwy

...Pod Zamościem — próba kolejnego wyrwania się z okrążenia. Oddziały pierwszego rzutu prowadzi do boju pułkownik Kasztelowicz. Niemcy kładą zaporę ogniową.

Początkowo piechurzy idą tyralierą, później, gdy wchodzą na pole ognia, zwijają się w gromadki i wsiąkają w teren.

Generał spogląda ze wzgórza kościelnego. Wzywa do siebie podporucznika Śniatyckiego i nakazuje mu iść do pułkownika z przypomnieniem kierunku natarcia. Podporucznik mknie motocyklem, wpada w mały wąwóz, jest na linii ognia.

— Gdzie pułkownik Kasztelowicz?

— Na przedzie!

Pułkownik jest pierwszy. Nie ma go na punkcie dowodzenia, nie jest otoczony sztabem, nie wydaje dyspozycji przez środki łączności. Nawet nie obserwuje idących do boju żołnierzy.

Pułkownik nie słucha porucznika. Mówi cierpko:

— Znam cel natarcia. Drogę i sposób wykonania zadania wybieram sam. Może by generał sam się pofatygował i zobaczył, jak tu jest...

Pułkownik nie wie, że gdy zacznie się prawdziwa walka, generał już go nie opuści. Ci dwaj — wysoki, sarkastyczny pułkownik i kamienny, milczący generał już razem poprowadzą żołnierzy do ostatniej walki. Ostatniej ofiary.

Teraz generał wraz z oficerami sztabu idzie za piechotą Kasztelowicza. Posuwają się drogą osłoniętą z jednej strony wysoką skarpą. Druga strona jest otwarta na zieloną kotlinkę. W tę kotlinkę trafia właśnie pocisk niemieckiej artylerii, odłamki z gwizdem przecinają drogę, wbijają się w skarpę. Ciężko ranny pada pułkownik Parczyński. Generał klęka i udziela mu pierwszej pomocy.

Niemiecka bateria wymacała również jakiś tabor. Zza zakrętu drogi, ukrytego za skarpą, wypada furgon bez woźnicy i pędzi wprost na leżącego pułkownika. Konie są ciężko ranne, z otwartych brzuchów wywalają się wnętrzności.

Generał zrywa się z klęczek, wybiega naprzeciw furgonu, usiłuje chwycić konie za wodze przy pyskach, lecz szarpnięty pędem pada do tyłu. Nie puszcza jednak wodzy, kolanem udaje mu się jeszcze pchnąć dyszel. Jedno z kół furgonu przechodzi kilka centymetrów od głowy rannego porucznika...

Właściwa bitwa rozpoczyna się o zmierzchu. W tej ostatniej walce generał chce mieć przy sobie tylko jednego oficera sztabu — kapitana Pohoskiego. W dwójkę prą do przodu, dołączając do piechoty pułkownika Kasztelowicza. Inni zostają w tyle.

W nocy nacierająca piechota posuwa się szybciej. Część Niemców nie może się wycofać, wszystko odbywa się szybko. Nawet nie dochodzi do walki wręcz. Hitlerowcy podnoszą ręce do góry.

Wkrótce liczba jeńców przekracza liczbę atakujących. Podporucznik Śniatycki widzi o świcie wzdłuż drogi zabitych polskich żołnierzy, całe oddziały jeńców, a przy nich kilku pojedyńczych żołnierzy, pilnujących wroga.

Ale, niestety, świt też odwraca sytuację. Niemcy zdążyli zająć nieposzerzenie horyzont, który w falistym terenie znajdował się zaledwie paręset metrów od drogi. Teraz otwierają zabójczy ogień z broni maszynowej, tak skuteczny, że w ciągu paru chwil cała nasza kolumna dosłownie znika. Drogę pokrywają trupy ludzi i koni. Wokół ciągną się bagna. Ten, kto zdążył uniknąć śmierci na drodze, znajdzie ją w topieli.

Generał Kowalski jest ciężko ranny. Odszukany przez niemieckich sanitariuszy zostaje przeniesiony na noszach do sztabu hitlerowskiej dywizji.

Tu pada pytanie:

— Jaki był cel tak uporczywej, a przecież beznadziejnej walki?

— Bić się do końca, do ostatniego żołnierza. Tak nakazywał nam honor...

Takich dokumentów po więźniarkach Majdanka ocalało kilka tysięcy...

Z twórczości kobiet na Majdanku

Elżbieta Popowska

Bociany

Wczoraj ponad Majdankiem leciały dwa bociany.
Serce mi drgnęło w piersi na widok jakże znany!...
Leciały całkiem nisko, widziałam je wyraźnie...
Na skrzydłach w dal uniosły stęsknioną wyobraźnię...

Chaty... słomiane strzechy studzienki żurawiane,
Podwórka zamiecione i piaskiem wysypane,
Biała ściana nasturcją barwną obrośnięta...
W ogródkach kwitną kwiaty... pachnie ruta, mięta...

Tu przydrożna kapliczka, tak, krzyż promienisty,
Zapatrzony w niebiosa, cichy, uroczysty,
A na gnieździe klekocą poważnie bociany
I może właśnie patrzy na nie ktoś... kochany!

Majdanek 1943

Zofia Karpińska

W szwalni

(na melodię „U prząśniczki siedzą...")

Siedzą sobie w szwalni nadobne dzieweczki,
Powtarzają szeptem najnowsze ploteczki.
Zwijaj się dziewczyno, szybko mija czas,
Kiedyś troski miną, szyjmy wszystkie wraz.

Jeśli cię los dobry od zguby zachowa,
Lepiej będziesz w domu mężowi cerować.
Cerujże dziewczyno, szybko płynie czas,
Ceruj z dobrą miną, obserwują nas.

— Pospieszaj powoli — mawiali pradziady,
I my, skromne szwaczki, wstępujmy w ich ślady.
Przodowniczko, sprytnie obliczaj nam czas,
Przyjdzie koniec wojny, wyratują nas.

Nie myśl, że z nas która roboty się boi,
Potrafimy śpieszyć, gdy chodzi o swoich.
Pięknie ceruj dziewczę, wiele czeka cię,
Wielu więźniów biednych twej pomocy chce.

Już siedzimy cicho, Zosieńko kochana,
Więc przestań chandryczyć z wieczora i rana.
Dyżurne z miotłami wznoszą pył i kurz,
Już gotowa szwalnia, praca kipi już.

Za firanką Niemka wzrok rzuca ponury
I nową głodówkę obmyśla już z góry.
Nie martw się dziewczyno, pal ich wszystkich sześć,
Będziesz na wolności marcepany jeść.

Majdanek 1943

Serdeczne ślady

Dokończenie ze str. 3

nich musiało odnosić przede wszystkim zwycięstwo nad sobą w walce o ciała cierpiących.

Pełnione ośmiogodzinne dyżury, nocne i dzienne, napawały je często strachem czy poradzą sobie, bo taka była cena samodzielności. Tymczasem w pamiętnym roku 1943 sytuacja w obozie uległa wyraźnemu pogorszeniu. Poprzez nielegalne kontakty wysyłano na zewnątrz informacje o tym, co działo się wówczas na Majdanku. Alarmowano opinię europejską poprzez raporty Delegatury Rządu RP na Kraj, które z kolei były przesyłane do rządu na emigracji w Londynie. Oto fragment takiego raportu z 24 kwietnia 1943 r.:

„Stosunki w obozie uległy pogorszeniu. Zaostrzono warunki pracy dla więźniów mężczyzn; trwa ona od godz. 3,30 do 22. W obozie szerzy się ostatnio tyfus, który wraz z innymi chorobami oraz traceniem więźniów przez Niemców zabiera dziennie 80—100 śmiertelnych ofiar; m.in. traceni są ci, co okazują się niezdolni do pracy. (...) Na oddziale kobiecym na Majdanku przebywa 2500 kobiet. Podzielone są one na szereg kolumn pracy: plantacyjną, ceglarską, drogową (budowa szosy do krematorium), zatrudnioną na folwarku i przy wewnętrznych robotach obozowych".

Momentem zwrotnym w historii szpitala obozowego na Majdanku było przeniesienie „rewiru" kobiet z V pola na I pole we wrześniu 1943 r. Jakże inny rozpościerał się stąd widok! Tak niedaleko przecież biegła wolnościowa szosa...

Przeglądam wiersze napisane w obozie przez Elżbietę Popowską i odnajduję w nich atmosferę tamtych chwil. Szczególnie ważne są w nich refleksyjne pointy — rzeczywistość Majdanka to praca ponad siły, bicie, egzekucje, gazowanie i spalanie ciał, głód i tęsknota. To jeszcze wieże strażnicze z ozdobami okien, z których „mierzono los człowieka karabinem do serca", dwie linie kolczastego drutu, strefa śmierci z umieszczoną tablicą informacyjną, 24 baraki. Więźniarski kolektyw nie tracił jednak nadziei. Za dobrodziejstwo można było uznać przecież to, że w barakach była sieć kanalizacyjna, woda. Energicznie zabrano się do pracy. W pierwszym baraku znalazło pomieszczenie ambulatorium, apteka kierowana przez Józefę Wdowską, gabinet dentystyczny prowadzony przez Jadwigę Łuczakę, a nad mikroskopem — mimo utraconej w obozie wiary w istnienie bakterii — pochylała się Irena Todleben, z zawodu chemik-bakteriolog. Liczba ofiarnych pielęgniarek sięgała setki. Na użytek rewiru przydzielono sześć baraków. Tymczasem w obozie wzmógł się reżim, wzrastała liczba chorób psychicznych. Szybko załamywała się bariera wytrzymałości ludzkiej, zwłaszcza, gdy z komina krematoryjnego unosiły się dymy ze spalonych ciał, często najbliższych. Maksymalna wydajność „fabryki śmierci" — to 1000 zwłok w ciągu doby, a przecież w dołach po jednodniowej egzekucji leżało około 19 000 zastrzelonych...

„Kuba" pisała tak w grypsie do jednej z mieszkanek Lublina:

„Proszę się nie dziwić, że moje kartki są tak rzeczowe i suche. Walcząc tutaj od 10 miesięcy o ludzkie zdrowie i ludzki humor nie mam po prostu czasu na sentymentalizm. Kocham tutaj wszystkich ludzi, ale walczę o ich samopoczucie i zdrowie, ucząc ich raczej śmiać się niż płakać. I sama tak postępuję. W ciągu tych 14 miesięcy nie wiem, czy dwa razy płakałam, chociaż przechodziłam osobiście ciężkie rzeczy. Jestem twarda i śpieszę się z załatwieniem spraw, używając jak najkrótszych dróg i słów. (...). Będę walczyć o każde zdrowie i każdą duszę tutaj, bo tak rozumiem sens mego tutaj pobytu. A dla siebie marzę tylko o jednym: być dumną i milczeć i nie słyszeć nic. To wiele powiedziane, prawda?".

Styczeń i luty 1944 r. to nowe transporty przywożonych kobiet: z Ravensbrück, w większości zaatakowanych gruźlicą, przewlekłymi nieżytami jelit, z ciężkimi powikłaniami potyfusowymi. W pamięci Majdaniarek odżyły wówczas twarze 800 Greczynek z przypadkami malarii przywiezionych latem 1943 r. z Oświęcimia. A problem dzieci z Zamojszczyzny! Tygodniowy przydział lekarstw był tymczasem poniżej minimum. Dziesięć baraków i ponad 1000 chorych — to problem nie lada dla służby zdrowia w pasiakach. Zza drutów Majdanka z narażeniem życia wysyłających i przenoszących grypsy płynęła jedna prośba: pomóżcie. Dwoili i troili się ludzie dobrej woli: PCK na czele z Ludwikiem Christiansem, RGO, indywidualni ofiarodawcy. Nie sposób wymienić nazwisk tych wszystkich, którzy z narażeniem życia przemycali potrzebne produkty żywnościowe, lekarstwa, szczepionki, narzędzia chirurgiczne itd...

Sukcesy odnoszone przez kobiecą służbę zdrowia na Majdanku nie zawsze oznaczały pełnię zwycięstwa. Trudno było przeżywać chwile, gdy spośród uratowanych od śmierci więźniarek, spośród personelu, wybierano do gazu.

Wyjechał „rewir" 13 kwietnia 1944 r. Droga wiodła do Oświęcimia.

Tam zaczęło się nowe, inne od majdankowskiego życie. Często porównywano stosunki panujące w lubelskim obozie z oświęcimskimi, zawsze na korzyść Majdanka, którego, rzecz jasna, nienawidziły. Jaki więc był bilans obozowych przeżyć?

„Nienawidziłam Majdanka i myśl o nim do dziś zpędza mi sen z powiek, ale szpital, chore i cały personel pozostawiły na zawsze w mojej pamięci mocne i serdeczne ślady". Dalej autorka wspomnień pt. „Gdy myśli do Majdanka wracają", dr Stefania Perzanowska, napisała tak o kolektywie więźniarskim:

„Bo to jest jedyne dobro, które nam pozostawił Majdanek — nasza wspólna serdeczna bliskość i nasza wypróbowana przyjaźń. Niewymierne są wartości takiej przyjaźni, tak jak niewymierna jest cena, którą przyszło nam za nią zapłacić".

E. R.

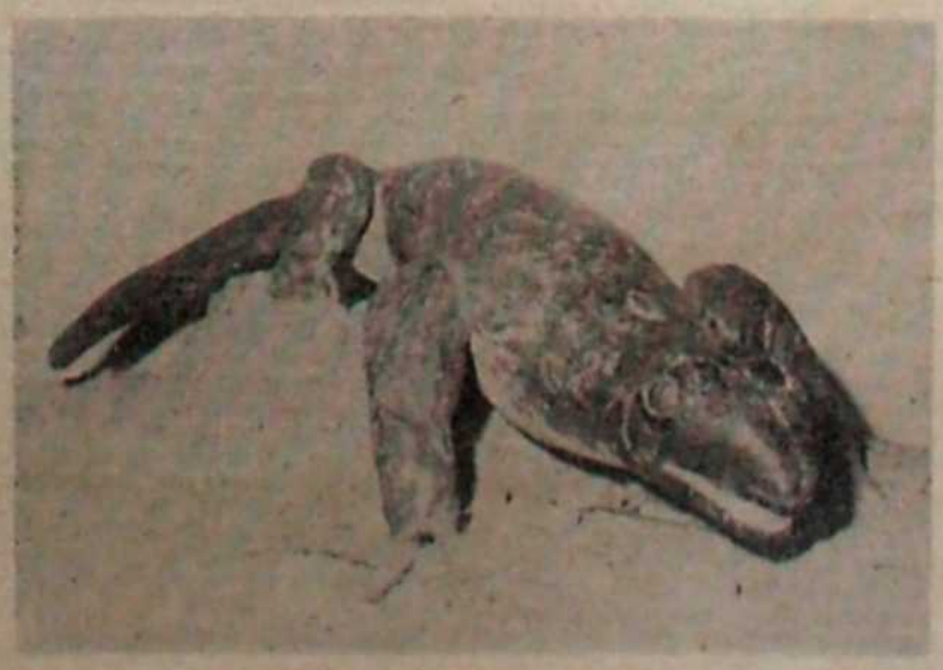

Jaszczur. Rzeźba M. A. Bonieckiego, wykonana na Majdanku.
Fot. Archiwum

P. Grauman

M. Janusz Kawalko

H. Kozak

St. A. Łukowski

H. Makarski

W. Michalski

Al. Rozenfeld

Młody Lublin literacki

Nadzieje i wątpliwości

Ukazanie się „Nowego Wyrazu" jest sposobnością do zastanowienia się również nad racją bytu każdego młodego piszącego wziętego oddzielnie. Czy przy przeciętności naszej młodej poezji, przy rozbiciu i braku łączności, izolacji wreszcie poszczególnych środowisk literackich w kraju, wartości autentyczne rzeczywiście znajdą okazję zaprezentowania się na forum publicznym? Czy nie zaginą w zalewie miernoty pod presją koterii? Nowa sytuacja stwarza wiele nadziei i wiele wątpliwości każdemu z nas. Ale odpowiedź nasuwa się tylko jedna: wprowadzenie wreszcie wnikliwej i rzetelnej miary ocen przy jednoczesnym zaostrzeniu kryteriów. Tylko to może uzdrowić wypaczoną politykę recenzencką, redakcyjną, wydawniczą i schorowaną już od niej młodą polską poezję.

Co musimy dać czytelnikowi? Nasz cały, skomplikowany czasem, ale zmuszający do zajęcia stanowiska program życiowy. Nie wiem, na ile jestem bezkrytyczny, ale za swój program uważam formę intelektualnej wypowiedzi, poszukiwanie sensów na płaszczyźnie moralnej i wśród mętliku estetycznego. To chyba znaczy być poetą.

Piotr Grauman

Gdzie widzę szansę?

Dyskutujemy o braku środowiska literackiego w Lublinie, a jednocześnie godzimy się na to, iż samo to pojęcie jest tworem sztucznym. Środowisko tworzą albo indywidualiści, albo zbiorowości, które poprzez swoje wspólne programy próbują wytworzyć specyficzną atmosferę.

Lublin ma sporo młodych talentów literackich i krytyczno-literackich. Sęk w tym, że wiele z nich działa w odosobnieniu. Ot, choćby miejscowa krytyka literacka, skupiona na KUL-u i UMCS. Nie widać jej ani w „Kamenie", ani na łamach „Sztandaru". Warto byłoby pokusić się o zaproszenie choćby kilku do ściślejszej współpracy. Jest to jedna z możliwości nawiązania wiążących kontaktów młodej generacji lubelskich poetów i prozaików z miejscową krytyką.

Celowe byłoby organizowanie częstszych dyskusji o sprawach literatury i nie tylko literatury, bo wcale nie jest prawdą, że takich dyskusji nie potrzebujemy. Sami jednak w gronie tylko członków Koła Młodych nie zawsze wiele powiedzieć potrafimy. Dlatego istnieje propozycja dla Oddziału ZLP, aby częściej spotykać się na literackich rozmowach, aby członkowie ZLP prowadzili z nami seminaryjne formy pracy (prelekcje z dyskusjami itp.). A formy takiego działania są konieczne, choćby ze względu na różny skład socjalny członków i sympatyków Koła Młodych. Często praca zawodowa nie pozwala na systematyczną obserwację nowych zjawisk literackich czy też dokładniejsze studia z zakresu historii literatury.

Uaktywnienie wszystkich środowisk twórczych Lublina oraz ich zespolenie podejmowane było przez Koło Młodych parokrotnie bez powodzenia. Wniosek zatem prosty: nie ma potrzeby dokonywania takich zabiegów. A skoro wołamy o stworzenie prężnego środowiska twórczego — to szansę tę widzimy właśnie w Kole Młodych przy ZLP. Akcja wspólnych spotkań z młodzieżą starszych klas lubelskich szkół — o ile uda się ją przeprowadzić — podniosłaby zapewne społeczną rangę Koła. Wreszcie nie bójmy się tego głośno powiedzieć: my sami musimy poważnie traktować przynależność do KM, pracować nad sobą, zdrowo rywalizować o doskonalenie swojego warsztatu. A prasa regionalna powinna w tym nam pomagać, choćby przez częstsze recenzje pozycji książkowych lubelskiej młodzieży, czy też informacje o pracach Koła, o uczestnictwie jego członków w zjazdach, dyskusjach, konkursach itp.

Myślę, że jeżeli młodzieżą literacką Lublina częściej będzie zajmował się... sam Lublin, da to szansę na stworzenie właściwej atmosfery twórczej w naszym mieście.

Marian Janusz Kawałko

Uzdrowić funkcję krytyki

Każdego roku ukazuje się wiele nowych tomików poetyckich. Recenzenci piszą gładkie recenzje i wszyscy są zadowoleni. A potem mówi się, że ta młoda poezja jest nic nie warta. Dlaczego i na jakiej podstawie? Każdy z nas przecież wie, że w roku ukazuje się jedna, najwyżej dwie recenzje dyskwalifikujące autora wierszy, wszystkie inne to niemal hymny pochwalne.

Dzisiaj, gdy prawie każdy poeta jest trochę krytykiem, a każdy krytyk trochę poetą, innej sytuacji być nie może i innej nie wymagajmy. Działa to wszystko na zasadzie: „napiszę dobrze o twoich wierszach — ty napiszesz dobrze o moich". Popierajmy się. Ta usługowo-towarzyska funkcja krytyki — powtarzam za Mieczysławem Kucnerem — nie dotyczy samego Stanisława Barańczaka. Tak piszą wszyscy krytycy.

Inna sprawa, którą chciałbym zasygnalizować, to sprawa wielkości literackich. Młody poeta, a zarazem zadziorny krytyk, wydaje zaraz po Grudniu tomik wierszy. Ponieważ jest zdolny, takiego należy się bać. Recenzent pisze: „on przewidywał". Inni powtarzają, podkreślają wnikliwość recenzenta i już rusza machina. Nieprawda. Cóż mógł przewidzieć poeta, który posiadał gazetowo-kawiarniane wiadomości? To tylko jeszcze jeden dowód na usługowo-towarzyską funkcję krytyki.

Mamy w Lublinie takie pismo społeczno-kulturalne jak „Kamena" i na jej łamach powinniśmy kłócić się, bronić swoich racji, pisać o naszych czasach, ale bez upiększeń i bez tworzenia fałszywych mitów. I nie o tym, jak dostać się na łamy „Nowego Wyrazu" powinniśmy dyskutować, ale o tym, co nowego i lepszego zaproponować czytelnikowi. Myślę, że dzisiejsze nasze spotkanie na łamach stanie się zalążkiem nowych spotkań, na których dyskutować będziemy o tych właśnie sprawach.

Henryk Kozak

Pisać w imię własne

Nie sądzę, aby środowisko, na którego brak ciągle wszędzie się narzeka, miało jakikolwiek wpływ na piszącego. Uważam, że dla piszącego najistotniejszą sprawą jest to, jak patrzy na rzeczywistość i w jaki sposób potrafi ją kreować. Dla ludzi, dla których pisać to znaczy żyć i dla których kartka papieru jest sumieniem i rozrachunkiem, nie ma znaczenia, gdzie mieszkają. A w końcu co jest tzw. środowiskiem? Kto je tworzy? Koła Młodych, efemeryczne grupy i ugrupowania, mętne i nigdy nie realizowane programy? I co to jest Koło Młodych? „Przedpiekle" ZLP? Szkółka dla ciągle dobrze zapowiadających się? Wydaje się, że większość młodych traktuje przynależność do koła jako pewnego rodzaju nobilitację, uznanie swej twórczości.

Przyjrzyjmy się bliżej, co się drukuje i jak się drukuje. Zastanówmy się, na jakich prawach powstają grupy, kto je lansuje. Dlaczego publikują swe utwory tacy, a nie inni. Otóż tworzy się najpierw manifesty, programy, grupy. Kupą łatwiej. Nic to, że programu się nie zrealizuje, manifest pozostaje mętny w dalszym ciągu. Ale zacznie się publikować. Rzeczy, które nie dotyczą nikogo i które dzieją się nigdzie. Nie chodzi mi o geografię. Chodzi mi o sprawy ludzkie. Niech nie będzie to zrozumiane jako nawoływanie do jeszcze jednego małego realizmu. Mówię o anonimowości poezji. Jest bez adresu i nadawcy. Poezji, która nie jest ryzykiem ani sumieniem. Nie wołam tu o poezję tzw. społeczną czy też polityczną. Chodzi mi o utwory, które dotyczą kogoś — te nie dotyczą nikogo. Takie pisać łatwo, a jeszcze łatwiej drukować. Bo nie zawierają żadnego ryzyka, jako że już wielu przywykło do kultu fallusa, który wszechwładnie zapanował w poezji tzw. młodych.

I jeszcze jedno. Kto z małych ośrodków drukuje swe utwory w pismach o zasięgu krajowym? W jaki sposób są sporządzane recenzje przez panów krytyków? Na podobnych zasadach, co i wzajemne drukowanie. Tam ukłon i tu ukłonik. Mało w tym wszystkim jest odwagi i szczerości. Że przytoczę fragment z wiersza Wisławy Szymborskiej: „Kto powiedział, że życie ma odważnie być przeżyte?" A laurki i tak zostaną sporządzone według wypróbowanych recept panów cmokierów.

Stanisław Andrzej Łukowski

Poezja przekazem wzruszenia

Tak zwane „środowisko literackie" jest dla mnie tworem sztucznym, ponieważ istnieje tylko w sensie socjologicznym, jako grupa osób piszących, powiązanych towarzysko. Literatury nie tworzy środowisko, ale tworzą poszczególne jednostki. Można podyskutować nad najnowszą literaturę czy filozofią, spotkać się z kimś ciekawym, nawet wysłuchać uwag pod adresem tekstu: to poszerza ogólną kulturę umysłową, ale nie wpływa na moje poetyckie „ja". Piszę nie dlatego, że spotykam się z piszącymi kolegami. Piszę, bo odczuwam potrzebę pisania, bo coś mnie niepokoi. I właśnie ten niepokój jest jedynym doradcą, inspiratorem i przewodnikiem przy pisaniu. Można go nazwać sumieniem czy też uczciwością, istota pozostaje ta sama. Czego oczekuje czytelnik, narzekający na niezrozumiałość współczesnej poezji? Wydaje mi się, że tego, co zabija w człowieku cywilizacja: liryzmu, uczuciowości, wzruszenia. Wbrew niektórym uważam, że liryzm współczesnym ludziom jest potrzebny. I tu rola poety — nasycić liryzmem, to znaczy potrzebą osobistego odzewu sprawy ważne, aby w ten sposób wytworzyć w czytelniku niepokój moralny, konieczność zadawania sobie pytań.

Henryk Makarski

Lata „tłuste" i „chude"

Z naszego środowiska wyszło wielu znanych dziś pisarzy: Anna Kamieńska, Jan Nagrabiecki, Jerzy Krzysztoń, Barbara Esymontt, Anka Kowalska, Wiesław Myśliwski, Anna Markowa, Edward Stachura, Ryszard Liskowacki, Andrzej Tchórzewski, Wiesław Sadurski i inni. Szkoda tylko, że nikomu w Lublinie nie zależało na tym, aby ludzi tych zatrzymać na stałe w naszym mieście. Młodzi więc działali na miarę swoich możliwości. Jednoczyli się w grupy i kluby, przeważnie dla celów taktycznych. Patronowały im różne organizacje. Na miano autentycznego mecenasa zasłużyła jedynie Rada Okręgowa ZSP. W tych warunkach do zauważenia mamy wiele niekorzystnych zjawisk. Oto np. warunkiem przynależności do Koła Młodych przy ZLP jest opublikowanie przed 34 rokiem życia przynajmniej jednej pozycji książkowej. W aktualnym lubelskim Kole Młodych nikt obecnie warunku tego nie spełnia! I to wszystko w mieście, które posiada własne wydawnictwo, kilka redakcji, kilka uczelni, oraz „opiekuńczy" oddział ZLP.

Wśród powodzi różnych inicjatyw młodoliterackich Lublina ostatnich lat chciałem przypomnieć jedną, moim zdaniem bardzo oryginalną i ciekawą, szkoda że w kręgach kulturalno-literackich Lublina zupełnie zignorowaną. Otóż jesienią 1968 r. zorganizowano w Lublinie pierwszy i jedyny chyba w Polsce Robotniczy Klub Literacki. Klub został utworzony przy Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie. Powstał z inicjatywy młodzieży robotniczej FSC zgromadzonej wokół Zakładowego Domu Kultury. Uzyskał w zakładowym tygodniku „Głos FSC" literacką kolumnę pn. „Profile", gdzie publikowane były w latach 1968—1970 utwory jego członków. Warsztatowe i redakcyjne dyskusje, w których brali udział zarówno młodzi twórcy ze strony FSC (m. in. Włodzimierz Niedźwiadek, Jerzy Sprawka, Zdzisława Mikitiuk, Barbara Staszewska) jak też i członkowie innych lubelskich klubów literackich (Z. Strzałkowski, St. Łukowski, J. Jedziniak, W. Michalski, J. Kukuryk), były przykładem wzajemnie kształtujących i owocnych konfrontacji. Klub przestał istnieć — pozostała jednak kolumna „Profile", która chyba już na stałe przyjęła się w zakładowej gazecie. Pozostała także inicjatywa warta ponownego podjęcia.

Ruch młodoliteracki w Lublinie miał swoje lata „tłuste" i „chude" i to jest chyba normalne. Nie jest natomiast sytuacją normalną, kiedy pozostawia się go samemu sobie. Ruch ten w minionych latach okazał się twórczym społecznie i oryginalnym nurtem życia literacko-kulturalnego w naszym mieście. Nurtem, niestety, nie docenianym w zakresie jego możliwości kulturotwórczych i wychowawczych.

Waldemar Michalski

Temat „młoda literatura" jest obecnie szczególnie aktualny. Zewnętrznymi objawami tej aktualności był choćby numer „Poezji" w całości poświęcony młodym, jest — choćby miesięcznik „Nowy wyraz" powołany jako trybuna wypowiedzi artystycznych młodego pokolenia. Nie potrzeba dodawać, że sprawy te dla Lublina posiadają pierwszorzędną wagę. Tu znajduje się sporo młodzieży literackiej zgrupowanej w Kole Młodych przy Związku Literatów Polskich, w Korespondencyjnym Klubie Młodych Pisarzy, w kołach twórczości własnej na wydziałach polonistycznych, w grupach literackich, czy sekcji literackiej Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego. Poza młodzieżą zorganizowaną istnieje wreszcie wielu młodych adeptów literatury poświęcających swe zainteresowania tej profesji indywidualnie.

Pragnąc umożliwić wymianę poglądów na temat specyfiki i potrzeb młodoliterackiego środowiska lubelskiego redakcja „Kameny" zaprosiła do siebie na rozmowę jego przedstawicieli. Chodziło nam o przedyskutowanie problemu przede wszystkim w jego aspekcie społeczno-organizacyjnym, umożliwiającym wysunięcie wniosków ważnych dla wymienionych zgrupowań, co nie oznacza, że sprawy merytoryczne twórczości literackiej chcemy pozostawić poza obrębem naszego zainteresowania. Tym razem poprosiliśmy o uwagi w kwestiach takich, jak: środowisko literackie Lublina, kontakt z innymi ośrodkami intelektualnymi, współpraca z redakcjami i wydawnictwem, propozycje posunięć organizacyjnych zmierzających do ożywienia nurtu działania artystycznego itp. W przyszłości będziemy do tego tematu wracali próbując go naświetlić z wielu różnych stron.

W rozmowie udział wzięli: Piotr Grauman, Marian Janusz Kawałko, Henryk Kozak, Stanisław Andrzej Łukowski, Henryk Makarski, Waldemar Michalski i Aleksander Rozenfeld. Treść ich wypowiedzi po dokonaniu koniecznych skrótów i kondensacji drukujemy poniżej.

Przeciw „zaczarowanym kołom"

Pewien mój bliski znajomy z Krakowa wyraził się, że „Nowy Wyraz" to kolejna koteria na terenie warszawskim. Nie można mu odmówić słuszności, z tym, że wszystkie nowe tytuły literackie powstałe w stolicy na przestrzeni ostatnich lat siłą rzeczy bliższe okolicom poetów i prozaików stołecznych — te właśnie środowiska preferowały. O piśmie nowym można będzie cokolwiek powiedzieć po kilkunastu numerach. Moim zdaniem zamiast narzekać na koterie i kółka wzajemnych adoracji zabierzmy się po prostu do pisania. A jest o czym. Tyle spraw ważnych nas otacza. Nie oznacza to, że namawiam do uprawiania poezji soc- i innej realistycznej, ale dosyć już pisania o niczym. Rzeczki i kamyczki już opisano dokładnie, teraz na opisanie czeka człowiek. Przez duże „C". I jeszcze jedno — zainteresujmy się piszącymi studentami, to naprawdę ciekawa młodzież i sensowniejsza w wielu przypadkach od nas, tak zażarcie wciąż mówiących o niczym.

Aleksander Rozenfeld

Okolice sztuki

Koniec flirtu

NA ulicach Elbląga stoją wielkie metalowe rzeźby. Przed budynkiem Zakładów Azotowych w Puławach wznoszą się przestrzenne konstrukcje; pomniki wiary artystów w nieograniczone i płodne moce techniki i nauki. Powstały niedawno, powstały przecież w innej epoce...

I Biennale Form Przestrzennych w Elblągu w 1965 r. miało charakter technologiczny. „Zamech" udostępnił zaproszonym artystom metal i maszyny, będące w posiadaniu tej wielkiej fabryki turbin okrętowych, oraz zaoferował im umiejętności robotników i kadry inżynierskiej. Nie każdy bowiem rzeźbiarz orientował się w zawiłościach statyki na tyle, aby prawidłowo obliczyć moment trwałej równowagi trzymetrowej konstrukcji — formy przestrzennej. Nie każdy też potrafił spawać i nitować.

Po Biennale pozostały wysokie rzeźby, rozstawione w różnych punktach miasta, i przekonanie, że oto ujawnił swoje moce socjalistyczny mecenat, a sztuka na dobre zadomowiła się w halach produkcyjnych, czerpiąc z tego spore korzyści. Sztuka i przemysł, oto oczekujący się wzajem partnerzy, których mariaż obiecuje same radości artystyczne, nie mówiąc już o społecznych, związanych z upowszechnianiem twórczości plastycznej.

Rok później w Puławach odbyło się I Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców, o rozmachu doprawdy europejskim, może nawet światowym — co podaję mając w pamięci narzekania angielskiego krytyka sztuki na warunki lokalowe międzynarodowego biennale grafiki w Edynburgu...

Impreza puławska, zlokalizowana na terenie dopiero co uruchomionego kombinatu azotowego, który wówczas był synonimem nowoczesności technologicznej w Polsce, miała daleko wyższe aspiracje ideowe, niż elbląska. Świadczy o tym chociażby jej główne hasło, ogłaszające wszem i wobec, że na dawnej ziemi księcia Adama Czartoryskiego i jego żony Izabelli, miłośniczki sztuk pięknych i świetnej repoprtażystki, naukowcy różnych specjalności, krytycy i teoretycy sztuki oraz artyści zastanawiać się będą nad „Sztuką w zmieniającym się świecie". Profil owego świata wyznaczały, rzecz jasna, nauka i technika, której przedstawiciele licznie najechali Puławy.

Sympozjum trwało kilka tygodni, niemal codzienne dyskusje były tak gorące, że kto wie, czy to nie od nich właśnie zajął się ogniem materac w łóżku należącym do pewnego, żarliwego malarza. W gruncie rzeczy uczestnicy zgadzali się, że myślenie naukowca i artysty wykazuje pewne wspólne prawidłowości, a technika otwiera nowe możliwości twórcze poprzez udostępnianie nowych metod i materiałów, np. tworzyw sztucznych, zaprogramowanych systemów świetlnych etc.

Na koniec przecież była wystawa prac powstałych na sympozjum i oto co się okazało: obok apologetów nauki i techniki, w różny sposób (geometryczno-statystyczny, dekoracyjno-realistyczny, technologiczny) rozwijających hasło imprezy w kierunku założonym przez organizatorów, wystąpiła całkiem liczna i tupotliwa grupa artystów, która dzielami swymi wykpiła racjonalny porządek świata technicznego, stuknęła naukę w czoło, w jakiś sposób dała do zrozumienia, że sztuka jest sprawą działań magicznych, a jej najklarowniejsza postać kojarzy się z zamysłem, z ideą dzieła, nie — z materialnie istniejącym przedmiotem. Pewna pani z Wrocławia pokazała np. skrzynię słusznej wysokości, która nijak nie chciała zmieścić się w drzwiach prowadzących do małej salki, gdzie autorka wyznaczyła jej właściwe miejsce — z góry wiedząc, że pudło ani tak, ani siak do pokoju nie da się wcisnąć... Na naukowo-technicznym sympozjum plastycznym w Puławach po raz pierwszy w takim zakresie ujawniła się sztuka niemożliwa i konceptualna, mówiąc ściślej — jej zapowiedzi.

Impreza elbląska ma dziś tyle wspólnego z techniką, że egzystuje dzięki materialnemu wsparciu zakładu przemysłowego; ubiegłoroczna była spotkaniem „marzycieli", na którym prezentowano m. in. miniaturowy sztandar narodowy z nadrukiem „mój ulubiony pejzaż". Sympozjum puławskie, mimo oficjalnych obietnic i zapowiedzi, nie doczekało się kontynuacji.

Pomijając wszystkie inne i niebłahe okoliczności, pierwotną ideę obu imprez zdeaktualizowała sytuacja artystyczna, która w Polsce drugiej połowy lat sześćdziesiątych zaczęła pozbywać się fascynacji naukowo-technicznej. Już w chwili wywołania hasło „sztuka razem z nauką i techniką" było zaciągnięte, miało wątłe wsparcie w świadomości czołówki krajowego środowiska artystycznego. Chwyciło jednak, bo trudno mówić, żebyśmy do cna byli znudzeni nowoczesnością w ogóle i na co dzień, której najbardziej oślniewającym atrybutem jest przemysłowy PRZEDMIOT. Lemowskie „Kto rano wstaje, temu robot daje" jest w końcu do dziś drogowskazem naszych pragnień. Poza tym hasło to było popularne — nie tylko u nas, ale i tam, gdzie często krytyka nasza spogląda.

Owa sytuacja artystyczna nie kształtuje się w próżni społecznej, nie wynika li tylko z komplikacji innych układów artystycznych. Określa ją stan świadomości zbiorowej. Chyba nietrudno zauważyć, że od dłuższego już czasu z rezerwą traktujemy technikę, z pewną nawet obawą spoglądając w przyszłość, którą wyznacza jej dzisiejszy charakter rozwojowy. Jeśli zaś chodzi o naukę, to i filozofowie-marksiści stwierdzają wprost, że grozi nam powrót do okresu przednaukowego, kiedy to człowiek nie był w stanie uchwycić związków między zjawiskami przyrody, a tym samym nie dysponował systemem myślowym, porządkującym otaczający go świat. A lawinowy rozwój współczesnej nauki dostarcza tyle odkryć, tyle prawd, tyle hipotez (którym bez trudu można przeciwstawić kontrhipotezy) że coraz trudniej z tych składników ulec jakiej jednorodne filozoficznie ciasto, każdego z ludzi krzepiące. Więc młodzi artyści kpiąc z niedawnego flirtu nauki, techniki i sztuki, oddają się robotom groteskowym i magicznym, lub w imię zgoła prostackiego instynktu życia protestują przeciwko zbiorowym mordom.

IJK

Bułgarzy po polsku

Dokończenie ze str. 7

„Bułgarska poezja walki", reprezentująca rewolucyjną poezję bułgarską.

Rok 1972 przyniósł niemałej wagi rarytas. Otóż ukazał się wreszcie od dawna przygotowywany wybór wierszy poetów bułgarskich pt. „Z poezji bułgarskiej" w przekładach krakowskiego poety i znakomitego tłumacza, Jana Zycha. Tom prezentuje utwory 22 poetów współczesnych i niewątpliwie zyska wysoką ocenę miłośników dobrej poezji.

Jak już wspomnieliśmy, osobnych wydań poezji doczekało się sześciu poetów a mianowicie: Ch. Smirnenski, „Bracia Gawrosza i inne wiersze" (1966 r.), P. K. Jaworow „Wiersze wybrane" (1947 r.), N. J. Wabcarow „Wiersze wybrane" (1954), E. Bagriana „Poezje" (1961), W. Chanczew „Ballada o człowieku" (1967), oraz D. Pantalejew „Człowiek i ziemia" (1978). Do tego dodać należy dwie książeczki dla dzieci, pióra D. Gabe: „Miczeto siostra Piotrusia" i „Ptasie pióra".

Na koniec warto wspomnieć i inne pozycje, jakie ukazały się w polskich tłumaczeniach. Są to: L. Karawelowa „Bułgarzy dawnych czasów", Ch. Botewa „Wybór pism", I. Udżijewa „Piórem i szablą" (monografia o Botewie — 1961); „Christo Botew — 1849—1949" (zbiór artykułów — wyd. w 1949 r.) sztuka filmowa pt. „Alarm" O. Wasilewa oraz jednodniówki N. Chajtowa pt. „Ścieżki".

•

Omawiając książkę bułgarską nie można pominąć polskich tłumaczy — owych wiernych przyjaciół, znawców i propagatorów bułgarskiej kultury i literatury, których jest niemałe grono w naszym kraju. Wśród trudniących się przekładami prozy na czoło wysuwają się takie nazwiska, jak Halina Bychowska, Henryka Czajka, Teresa Dąbek, Zofia Wolnik, Henryk Batowski, Bronisław Cirlić, Zdzisław Kempf, M. Peliński, L. Rubach, S. Wohl i szereg innych, zarówno ze starszego, jak i młodszego pokolenia. Spośród tłumaczy poezji szczególne uznanie należy się Annie Kamieńskiej, J. Zychowi, J. Lau, W. Smochowskiej, J. Śpiewakowi i A. Sternowi.

Z przeglądu nazwisk widzimy, że w gronie żyjących nie ma już H. Bychowskiej, J. Lau, J. Śpiewaka i A. Sterna. Wielu innych z wymienionych odsunęło się od systematycznej pracy przekładowej, m. in. na skutek zmonopolizowania przekładów przez wąskie grono tłumaczy.

W tej niełatwej sytuacji dużo zależy od właściwej polityki wydawnictw (bułgarskie książki wydają przede wszystkim: Państwowy Instytut Wydawniczy, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, „Iskry" i „Czytelnik"), które bardziej powinny się skierować ku poszukiwaniom nowych tłumaczy (nie tylko szukając ich w katedrach slawistyk, ale także wśród znających język bułgarski dziennikarzy i młodych literatów), gwarantujących wysoki artyzm przekładów.

Nie miejsce tutaj na analityczną ocenę literackich wartości przekładów. Generalnie można powiedzieć, a udokumentować bez większego trudu, że wartość literacka tłumaczeń daleka jest (oczywiście poza wyjątkami) od ideału, a czasami tylko poprawności. Najczęściej przekłady dokonywane są w pośpiechu, bez dbałości o wierny, a jednocześnie w pięknym kształcie polszczyzny oddany tekst. Te same zresztą zarzuty można odnieść do polskich książek tłumaczonych na język bułgarski.

Kolejna sprawa dotyczy polityki wydawniczej, zatem doboru wydawanych książek. Jest tu dziwne sprawy pomieszanie: a to Związek Pisarzy Bułgarskich (poprzez Związek Literatów Polskich) proponuje zestaw pozycji, a to wydawnictwa drogą własnego rozeznania (nie zawsze trafnego) wybierają książki, a to wreszcie sami pisarze, uruchamiając mechanizmy i osobiste kontakty, wpraszają się wydawnictwom ze swymi książkami. W sumie czytelnik otrzymuje nie zawsze najlepszą literacką produkcję, wyrabiając sobie na jej podstawie opinię o całości tej literatury, znacznie odbiegającą od rzeczywistości. Aby nie być gołosłownym, przytoczę przykład sprzed trzech lat, a można i sprzed pięciu i dziesięciu. Otóż nasze wydawnictwa wydały w roku 1969 pięć powieści, z których tylko jedna stanowi prawdziwe osiągnięcie literackie, a mianowicie „Cena złota" G. Stoewa. Cztery pozostałe (M. Radew „W sobotę wieczorem" A. Karasjmeonow „Tak bardzo pożądane przyjaźnie", G. Borow „Asy na starł", i K. Maliny „Złote serce") są literaturą drugiego rzutu, można było tych pozycji polskiemu czytelnikowi zaoszczędzić. Tym bardziej, że na tłumaczy i wydawców czekały artystycznie dojrzałe i treściowo atrakcyjne, jak chociażby N. Chajtowa „Divi razkazi" (wyd. 1967 r.), J. Radiczkowa „Svirepo nastroenie" (1965), „Wodolej", (1967), B. Rajnowa „Pytiszta za nikyde" (1966), P. Wezinowa „Zwezdite nad .las" (1967), nie mówiąc o innych z lat wcześniejszych, a z najnowszych powieść E. Stanewa „Antichrist".

Wskazane by było zatem, aby wydawnictwa bardziej dokładnie i autorytatywniej penetrowały rynki literackie krajów socjalistycznych (jako, że zarzuty odnoszą się nie tylko do tłumaczeń z literatury bułgarskiej), a przy tym mniej ulegały nieprzemyślanym propozycjom, bo to nie wychodzi na dobre literaturze ani jednej, ani drugiej strony.

Liczba wydanych w ostatnich latach książek bułgarskich w naszym kraju wskazuje na coraz większą popularność literatury naszych pobratymców wśród polskich czytelników. Należy mieć nadzieję, iż ta popularność będzie systematycznie wzrastać wraz z coraz to nowymi i lepszymi tłumaczeniami z tej ciekawie się rozwijającej i ze wszech miar godnej uwagi — literatury.

Stefan Maciejewski

Człowiek sam nie daje rady...

— Urodzony?

— Tak jest.

— Ale gdzie i kiedy? — pytam Mieczysława Nosala, poetę ludowego, członka Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

— Urodziłem się 30 marca 1936 roku w Terebince (pow. Hrubieszów) w rodzinie średniorolnego chłopa.

— Edukacja?

— Ukończyłem 10 klas szkoły wieczorowej w Hrubieszowie. Od Terebinki 5 km piechotą, a potem jeszcze ciuchcią. Więcej uczyć się już nie dało rady. Ale ja, panie, na przykład studiuję stale, nie ma rzeczy, których bym nie czytał, nawet „Twórczość" czytam.

— Co pan robił po przerwaniu szkoły?

— Wróciłem do ojca na rolę i tam pracowałem, dopóki się nie ożeniłem. W końcu gospodarzę w Starościcach (pow. Lublin) na 1/2 ha — sad i warzywa. Odstawiam do Milejowa za pośrednictwem skupu w Popławach.

— Kiedy pan zaczął pisać?

— A jeszcze w szkole wiersze pisywałem. Potem raz w „Kulturze i Życiu" wydrukowałem fraszkę. Drukowałem też poezję w antologii „Wiersze proste jak życie", w dwu tomach „Wsi Tworzącej", „Rolniku Lubelskim" oraz w „Ziemi i Pieśni". Piszę od dawna korespondencje do różnych gazet.

— Zdaje pan sobie sprawę, że pańska poezja różni się znacznie od tekstów publikowanych na łamach prasy literackiej i społeczno-kulturalnej?

— Tam wszystko jest pisane przez dużą metaforę, w ogóle co się drukuje, i nikt nie mówi prawdy. Straszna abstrakcja jest w poezji, tego się w życiu nie spotyka, panie.

— A jaka jest prawda?

— Na przykład chcę coś kupić w GS-ie, nie mogę, muszę postawić pół litra i dopiero... Demoralizuje się człowieka. Cwaniaków trzeba zwalczać.

— Jak pan to robi?

— Na przykład:

Serca biurokratów wiejskich
Kiedy nie stać ich rzekomo na buty-oficerki,
Czyli „golfy",
Ani na wódę oraz smaczne mięsne wyżerki,
Kotlet schabowy,
Bardzo pożywny
W seledynowej restauro-gospodzie,
Restauro-gospodzie geesowskiej pod nazwą „Zacisze",
I gdy zmuszeni są życie prowadzić ascetyczne, mnisze,
To wpadli na pomysł, by sztywniaki
Nosić w swoich płuco-sercach,
A rolnicy
Sami se powybijają zęby na łodzie...

— Trudno jest łączyć pracę na roli z pisaniem?

— Kiedy pada deszcz, siadam i piszę. Maszynę starą kupiłem, nauczyłem się pisać. Ale ręce, jak się ciężko robi, drżą. W każdym razie co nieco się na tej maszynie utłucze.

— Sądzi pan, że można zrobić karierę na poezji?

— Jaka tam kariera na poezji, mało płaci, czyli nie płaci, tak?! Piszę, bo jest straszne zakłamanie na świecie, a to wszystko jest lipa. Chcę to jakoś zwalczyć, ale człowiek sam nie daje rady, prawda?

— Czyli jest pan pesymistą?

— Człowiek żyje, umiera. Mądre to wszystko jest, tak było od początku świata.

Rozmawiał: **MP**

Dokończenie ze str. 5

równocześnie przy każdej okazji myszkuje w terenie, powiększa swoje zbiory, pisze i mówi o lubelskich zabytkach. Potem przez 5 lat dużo przyjemniejsza praca w Miastoprojekcie, wreszcie od 1 marca br. stanowisko zastępcy dyrektora do spraw naukowo-konserwatorskich w lubelskim oddziale Pracowni Konserwacji Zabytków. To znów daje satysfakcję, pozwala na wykorzystanie i kwalifikacji i osobistych zamiłowań.

W miarę upływu lat początkowe zamiłowanie do książek przekształca się w bibliofilstwo coraz bardziej ściśle ukierunkowane: Lublin i Lubelszczyzna. Pokoje w starym, na szczęście, a więc obszernym mieszkaniu zapełniają się coraz bardziej. Uginają się coraz liczniejsze półki, brakuje miejsca pod stołem, na piecu, w tapczanie. Można by w tym wszystkim utonąć na kilka miesięcy, odnajdując wciąż coraz ciekawsze książki, czasopisma, fotografie, albumy, medale, znaczki pocztowe itd, itd. Nie bez zdziwienia w jednym z czasopism dla Polonii w Niemczech odnajduję mój własny artykuł z 1935 roku drukowany w języku niemieckim...

Zapytaj Gawareckiego

Ale przede wszystkim książki, książki o Lublinie i Lubelszczyźnie, także i te, w których o naszym terenie pisano tylko marginesowo. Często są to prawdziwe białe kruki, nieraz chyba unikaty, w każdym razie nieznane najbardziej zasobnym bibliotekom. A więc komplet wydanych kiedykolwiek przewodników po Lublinie, poczynając od pierwszego z 1839 roku, którego autorem jest Seweryn Sierpiński. Wśród nich po 25 latach poszukiwań zdobyty przed kilku miesiącami pierwszy przewodnik dla dzieci pt. „Powieści dla dzieci na tle miejscowych zdarzeń osnute, skreślone przez Z. S." (Zofię Ścisłowską), drukowany przez Józefa Kossakowskiego w 1854 r. Jest „Chorągiew pobożney miłości", tłoczona w pierwszej lubelskiej drukarni w 1626 r. Jest z 1397 r. książka „Statuta Regni Poloniae", tłoczona w Zamościu przez Marcina Łęckiego. Jest „Bieg życia chwalebny w Herbowym Pogoni" J. O. Xiążęcia JMości Pawła Karola Olgierda Lubartowicza Sanguszka Marszałka Wielkiego W. Ks. L." z 1751 roku, której to książki tytuł przytoczyłem tylko w dziesiątej części. Jest kilka książek oraz litografie z drukarni, która istniała w Puławach w 1830 roku, wśród nich „Pochwała Jana Woronicza" księcia Adama Czartoryskiego itd. itd.

Zaglądam do niezbyt pokaźnej książeczki. Wydana została w Lipsku w 1840 r. przez Jana Nepomucena Bobrowicza jako tom I „Biblioteki kieszonkowej klasyków polskich". Wewnątrz „Dzieła Ignacego Krasickiego", a od strony 207 „Podróż z Warszawy do księcia Stanisława Poniatowskiego" — przez Lublin, Wysokie, Goraj, Biłgoraj i Tarnogród. Dziwny tekst: kilka linijek prozy, kilka linijek wiersza. Książę-biskup, widocznie zbyt pamiętając różne sprawy z czasów prezydentury w lubelskim Trybunale, nie był łaskawy dla Lublina, tak m.in. o nim pisząc:

Gdzie, jakoby na przemiany
Pomięszane wszystkie stany,
Wadzą się i gryzą wspołem,
Z strachem ratusz ominąłem,
Tam po tronem pieniactwa jędza,
Ziemianina, kupca, księdza,
Gdy się jadem wzdęta zżyma,
U nóg swoich w pętach trzyma.

Unikatem jest album fotografii Lublina W. Chicińskiej z 1874 roku czy kilkanaście innych zdjęć Lublina i Nałęczowa z roku 1888. Niezmiernie rzadki jest album pocztówkowy „Widoki Lublina", wydany przez Michała Arcta w 1887 roku, zauważony przypadkiem u pewnego robotnika, który chciał sprzedać stary gramofon do muzeum. Podobnie „Kalendarz seraficki za rok 1939" — jedyny druk, który zdążył opuścić drukarnię Bernardynów w Radecznicy. Jest komplet przedwojennych i powojennych wydawnictw Towarzystwa Miłośników Książki, wśród nich numerowane egzemplarze bibliofilskie z drukowanym nazwiskiem inżyniera Gawareckiego. Jest wreszcie długa na kilkadziesiąt centymetrów kartoteka spraw lubelskich — fiszki, na których autor zanotował, gdzie należy szukać jakichś ważnych czy ciekawych wiadomości o naszym regionie.

Większość bogatych zbiorów pochodzi z zakupów. Są prezenty, egzemplarze autorskie, pozycje zdobyte w drodze wymiany. Ale są również i takie, które — niech tu wzorem będzie sam mistrz Łopaciński — ściągało się z piwnic, strychów i przeznaczonej w różnych biurach na spalenie makulatury, jak np. 200-stronicowy „Informator województwa lubelskiego" z 1925 roku, czy jakieś stare rachunki, zestawienia, które dzisiaj okazują się bogatym źródłem wiedzy o tamtych czasach.

Wiele cennych dzieł literatury pięknej, słowniki, encyklopedie, monografie uzupełniają ten niezwykły, najbogatszy zbiór lublinianów. Pasja inżyniera Gawareckiego polega nie tylko na samym zbieraniu. Korzysta z niego sam w swojej szerokiej, acz mało reklamowanej akcji popularyzatorskiej, uprzystępnia go innym. Sam jest swoistą encyklopedią Lublina i Lubelszczyzny. Zapytaj Gawareckiego — to popularne wśród miłośników miasta i regionu zakończenie kontrowersyjnej dyskusji. Zapytaj Gawareckiego — mówi się często wśród dziennikarzy, działaczy kulturalnych, historyków sztuki.

Uratował od zniszczenia pokaźny kawał naszego dorobku kulturalnego, odkrył wiele nieznanych spraw, uzupełnił wiele niepełnych wiadomości, sprostował szereg nieprawdziwych. Aż dziw bierze, że władze jakoś dotychczas nie bardzo zauważyły jego działalność, nie otrzymał bowiem ani medalu „Zasłużonego dla Lublina" czy odznaki „Zasłużonego dla Lubelszczyzny", ani nagrody wojewódzkiej czy miejskiej. Mija właśnie całkiem okrągła rocznica urodzin, 50 lat pobytu w Lublinie, 30 lat zbieractwa, 25 lat pracy naukowo-popularyzatorskiej. Jest świetna okazja, aby to niedopatrzenie nadrobić.

Jerzy Dostatni

Hołd nauce i człowiekowi

W KSIĘGARNIACH pojawiła się niewielka objętościowo książeczka pt. „Jeszcze jedno życie". Jej autorka, Alicja Dorabialska, profesor kilku politechnik polskich, ostatnio łódzkiej, chemiczka z zawodu, opisała po przejściu na emeryturę zakłady szkolne i naukowe, w których dorastała, kształciła się i pracowała.

Na książkę tę składa się 21 krótkich opowiadań wspomnieniowych. Czyta się ją jednym tchem! Przed czytelnikiem przesuwają się barwne obrazy z pierwszych lat dwudziestego wieku. Autorka ze wzruszeniem i właściwym sobie entuzjazmem opisuje warunki i stosunki w prywatnych szkołach żeńskich w Sosnowcu i Warszawie jeszcze w latach zaborów. Odtwarza postawy swoich profesorów i nauczycieli, którzy jakże dbali o czystość języka polskiego w wypowiedziach i wypracowaniach swoich wychowanek, wspomina też tych, którzy wszczepili jej zamiłowanie do chemii. Tak pisze o nich: „W atmosferze najgłębszego poszanowania wszelkich poglądów, wzrastałyśmy i rozwijałyśmy się w naszej szkole... Nasi wychowawcy umieli uszanować w stosunku do swych uczniów podstawowe prawo człowieka do samego siebie".

Dalej opisuje działalność ideowych organizacji niepodległościowych, w których była aktywnym członkiem, przypomina o trudnościach kształcenia się dziewcząt w wyższych uczelniach, wspomina o działalności towarzystw, takich jak Tow. Kursów Powszechnych w Warszawie i Tow. Naukowe Warszawskie, organizujące całą sieć pracowni badawczych dla młodych adeptów nauki, a między nimi i pracownię radiologiczną, będącą pod patronatem i kierownictwem Marii Skłodowskiej-Curie. Opisuje lata spędzone w Moskwie, Wyższe Żeńskie Kursy, dom polskich akademiczek zwany „Strzechą", jego rodzinną atmosferę, a w końcu spotkanie ze swoim przyszłym profesorem i kierownikiem naukowym, profesorem Świętosławskim. Tak pisze o tym w jednym ze swoich opowiadań:

„Bo w życiu są różne spotkania, te przelotne, o których się zapomina na drugi dzień, i te na pozór przypadkowe, które są zdolne przeorać dalsze życie człowieka i decydują o jego losie. Tamto nasze spotkanie było spotkaniem na dziesiątki lat wspólnej pracy i jednego głośnego myślenia".

A. Dorabialska opisuje swoje dorastanie naukowe w zakładach politechnik warszawskiej, lwowskiej i łódzkiej w pracowni Marii Skłodowskiej-Curie w Paryżu, podczas pobytu w zakładach chemicznych w Pradze Czeskiej u prof. prof. Votočka i Heyrowskiego (laureat Nagrody Nobla). Ze swoistym humorem i dowcipem opisuje homeryckie boje staczane przez wrogów kobiet na stanowiskach profesorów Politechniki Lwowskiej, aby nie uzyskała kierownictwa katedry na tej uczelni, która najdłużej broniła się przed dostępem kobiet jako studentek, a cóż dopiero profesorów!

Pasjonujące są jej opowiadania z lat okupacji. O tajnym nauczaniu w szkołach średnich, na uniwersytetach i politechnikach. Z wielkim sentymentem wspomina swoje łódzkie lata już w Polsce Ludowej. Bierze udział w organizowaniu nowej politechniki, w której obejmuje stanowisko kierownika katedry Chemii Fizycznej oraz pełni obowiązki dziekana. Bierze też żywy udział w ponownym powołaniu do życia Polskiego Towarzystwa Chemicznego, w którym pracowała niemal od chwili jego powstania.

Dwa wątki dominują w tych 21 opowiadaniach. Pierwszy to zagadnienie dobrej atmosfery w zakładzie naukowym, przyjazne stosunki profesora z asystentami i odwrotnie. Dobra atmosfera jest nieodłącznym i koniecznym warunkiem dla dobrej i twórczej pracy. Słusznie bowiem twierdzi, że jeżeli człowiek nauki rozprasza się w codziennych, drobnych utarczkach o wszystko, nie może być mowy o wysokiej pozycji takiej katedry lub uniwersytetu.

A drugi wątek, stanowiący również pasję autorki, to odtwarzanie tych, których można nazywać prawdziwymi ludźmi i zatrzymywanie się myślą na cennych, a często nie zauważanych przez ogół odruchach prawdziwie ludzkich, których przykłady podaje. Wyrazem tej pasji jest jej krótka wypowiedź: „Muszę zawsze się kimś zachwycać, inaczej nie byłabym sobą".

Wydaje się, że autorka wykonała swoje zamierzenia, dała czytelnikowi obrazy prawdziwych zakładów naukowych, będących w czołówce światowej, odtworzyła ich atmosferę, podała mnóstwo nazwisk wspaniałych ludzi, z którymi spotkała się w pracy. A byli to i profesorowie, i koledzy, i koleżanki ze studiów, organizacji niepodległościowych, harcerze i harcerki, i ci niezapomniani z Szarych Szeregów, a między nimi Tadeusz Zawadzki („Zośka"), syn profesora chemii — Zawadzkiego.

Książka Alicji Dorabialskiej jest wysoce optymistyczna i jakże na czasie. Właśnie teraz, gdy tyle się pisze, a jeszcze częściej mówi — otwarcie lub w kuluarach — o złej atmosferze w wielu zakładach naukowych i nowo zorganizowanych instytutach, w których brak tak pożądanej integracji. Byłoby dobrze, by tę niewielką książeczkę przeczytali wszyscy pracownicy naukowi, ci starsi i ci najmłodsi, ci z tytułami i ci bez stopni naukowych. Książka ta jest bowiem hołdem złożonym nauce i prawdziwemu człowiekowi.

Prof. dr Janina Opieńska-Blauth

Alicja Dorabialska „Jeszcze jedno życie". Instytut Wydawniczy Pax 1972.

Krzyżówka nr 19

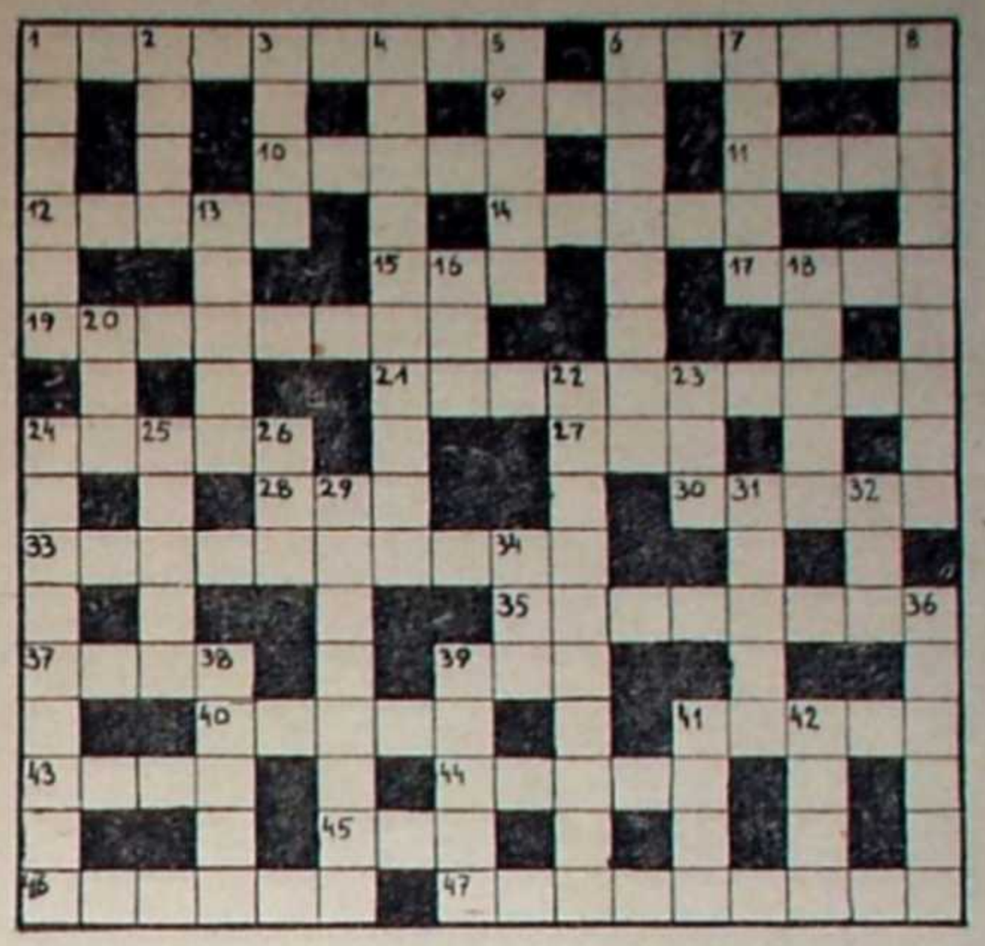

POZIOMO: 1. niedawno zmarły pisarz polski, który był niegdyś posłem na Sejm z Lubelszczyzny, 6. obawa, 9. bibijny żeglarz, 10. współczesny pisarz hinduski, autor „Kultha", 11. państwo południowo-amerykańskie, 12. wrzątek, 14. wielkie jezioro w płn. Finlandii, 15. wystawa kwiatów w Erfurcie, 17. znany polski księgarz i wydawca, 19. ojciec Hannibala, 21. pisarka polska, autorka „Ojczyzny", 24. melodia na dwie ćwierci, 27. porządek, 28. piękny kwiat, 30. do ssania przeciw bólowi gardła, 33. poetka polska z przełomu XIX i XX wieku, 35. wyższa uczelnia, 37. kończyna górna, 39. liczebnik, 40. bywa powodem utonięcia, 41. pierwiastek promieniotwórczy, 43. prąd, 44 taniec, który wyszedł z mody, 45. imię pisarki, której dzieła zebrane wyszły nakładem Wydawnictwa Lubelskiego, 46. opera Webera, 47. malarka polska, przedstawicielka impresjonizmu.

PIONOWO: 1. ciężkie powietrze, 2. model, 3. odcinek trasy, 4. autor „Dwu teatrów", 5. nazwa wielkiego państwa azjatyckiego (dziś wrócono do starej), 6. uprawna roślina motylkowa, 7. pieniądz państwa 5 pionowo, 8. pisarz, niemiecki, autor „Dzwonu zatopionego", 13. ubożsc, 16. zabawa, 18. amortyzuje wstrząsy, 20. imię znanej śpiewaczki polskiej, 22. poetka polska, autorka „Ikarowych lotów", 23. fabryka w Poniatowej, 24. pisarz — pedagog radziecki, 25. główny plac miasta, 26. organizacja młodzieżowa lat pięćdziesiątych, 29. pisarz duński, autor słynnych „Baśni", 31 plama z atramento, 32. zaimek osobowy, 34. wykonawca wyroku, 36. górna ozdoba elewacji renesansowego budynku, 38. odtwórca roli, 39. grupa dowódcza, 41. willa Szymanowskiego w Zakopanem, 42. popiersie.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 17 Poziomo: kompilator, Kurów, Roztocze, mazidło, baobab, harak, sake, Lidice, seans, Krzywicki, Turkmenia, kabza, łapa, epika, etylen, sasanka, ideogram, klika (wspak), Aleksander. Pionowo: korab, Maxzola, liczba, Trembecki, Romer, Krzyki, Radawiec, włosiennica, Asam, Alpy, sztangista, Racławice, wakat, Rzewuski, Edyp, Belgrad, celnik, Petera, Ilawa, numer.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 17 nagrody wylosowali: Anna Nawrocka, Lublin, Trybunalska 21 m. 68, Adam Małodobry, Zamość, ul. H. Sawickiej 18/2 A, Stanisław Leski, Lublin Wesoła 18/2, Joanna Polanowska, Bydgoszcz, Grunwaldzka 65/7.

Listy do KAMENY

Zamojskie remonty

Będąc w połowie sierpnia w Zamościu udałem się do znanej mi z wcześniejszego pobytu restauracji „Rycerska", położonej w pobliżu hotelu „Renesans", gdzie niegdyś zjadłem niezły obiad. Jakież było moje zdziwienie, kiedy lokal zastałem zamknięty, a na drzwiach przybytku takie usprawiedliwienie tego faktu „Remont". Szanowna redakcjo, na jakim świecie żyjemy, przecież ta restauracja została otwarta zaledwie kilka miesięcy temu, bodaj na początku roku, i już trzeba ją remontować! Zirytowany takim obrotem sprawy zadałem sobie nieco trudu, aby ustalić przyczyny wyłączenia „Rycerskiej" z sieci placówek żywienia i to w pełni sezonu turystycznego, kiedy zjedzenie obiadu jest dla amatora Zamościa próbą ogromnej cierpliwości. Okazało się, że nawaliła instalacja wodno-kanalizacyjna, także naturalna wilgoć przenika ściany, a wszystko dlatego, że budynek, w którym mieści się restauracja, ma charakter zabytkowy i został poddany słynnej zamojskiej renowacji, czyli mydleniu oczu władzom i prostym obywatelom. Przecież to karygodne, że w kilka miesięcy po zakończeniu prac renowacyjnych dom jest ponownie atakowany przez wilgoć, dowodząc jednocześnie partactwa ekip budowlano-konserwatorskich. Żeby on jeden, można by przypadek włożyć między sprawy losowe, jakie zdarzają się nawet najlepszym fachowcom. Ale tak nie jest, o czym wymownie świadczy stan murów odremontowanych kamieniczek i np. synagogi.

Podczas pobytu w Zamościu dowiedziałem się również, że mimo milionowych nakładów na prace renowacyjne przy nadszańcach, ich obecny stan musi budzić poważny niepokój. Jest to sprawa świeża, przez nikogo nie badana, ani tym bardziej opisana, zachęcam więc redakcję, znaną ze swej aktywności w obronie zabytków, do bliższego spojrzenia na te budowle, wchodzące w skład zabytkowych fortyfikacji „perły renesansu", z której za kilkanaście lat — mam na myśli Stare Miasto — pozostaną ruiny i smutna pamięć o bezsensownie wydatkowanych milionach, pochodzących z państwowej, a więc z każdego z nas, kieszeni.

Dr Antoni Sandecki
Warszawa

Palenie i cwaniacy z gumą

Akcja antynikotynowa zatacza coraz szersze kręgi, na liniach podmiejskich Warszawy nie wolno palić papierosów w pociągach, co zresztą wcale nie znaczy, że się nie pali, ale to inna sprawa. Maluczko, a palacze zejdą do podziemi, utworzą tajne korporacje i syndykaty, będą tępieni przez oddziały specjalne przeciwników biednego papierosa... Spokojna głowa, papierosom nic nie zagraża, albowiem, jak dotąd, cała akcja ogranicza się w zasadzie do propagandy i wydawania zakazów, natomiast nic się nie robi, aby znaleźć jakiś zastępczy środek, przynajmniej częściowo zastępujący „sporty" i „carmeny". Jak wiadomo, podstawową przyczyną palenia jest konieczność zaspokojenia odruchu, skłonności do posiadania czegoś między zębami — mówiąc najprościej. Taką właśnie skłonność mogłaby z powodzeniem zaspokoić guma do żucia — gdyby była dostępna na rynku i tania. Tymczasem, jeśli pojawia się, to z reguły w prywatnych sklepikach, komisach i na brudnych targowiskach straszliwych dam z Lubartowskiej. Kosztuje, jedna porcja, pięć albo siedem złotych (jugosłowiańska, holenderska), co absolutnie uniemożliwia większy zakup, wystarczający na cały dzień — zamiast paczki papierosów. Skąd handlarze biorą zapasy gumy? Aby się dowiedzieć, wystarczy zapytać w sklepie „Bank PKO" przy tejże Lubartowskiej, gdzie nigdy gumy dostać nie można, bo handlarze robią wszystko, aby monopolistycznie sterować rynkiem. Spory pakiet takiej gumy kosztuje w „PKO" kilkanaście centów, nie trudno więc obliczyć, że zysk handlarek sięga 300—500 procent. Jest to więc jeden z najlepszych interesów w Polsce.

Przy okazji chciałbym zapytać, co się stało z gumą, prawdopodobnie polskiej produkcji, która była niegdyś w detalicznej sprzedaży w cenie 1 zł za sztukę? Mam nadzieję, że redakcja przyjmie te uwagi jako dotyczące nie gumy do żucia, lecz pewnego ważnego problemu społecznego.

Jan Kolczyński
Lublin

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGÓRSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamał KONSTANTY KĘPA

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 235-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 2163 23.08.72. B-4.

Pokłon Augusta Bielowskiego Szymonowi Szymonowicowi

Adam Andrzej Witusik

WŚRÓD rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie pod sygnaturą 7876 znajduje się wiersz Augusta Bielowskiego „Szymonowicz", z adnotacją cenzury z 1843 r. — „nie zezwalamy drukować".

O Auguście Bielowskim mówi się najczęściej jako o wydawcy źródeł historycznych. Tymczasem owo odgrzebywanie dawności nie było wcale odkurzaniem archiwum ani remanentem w gabinecie pamiątek. Bielowski był przede wszystkim pisarzem współczesnym, a do przeszłości sięgał po naukę i na użytek dnia powszedniego, dnia pod zaborem.

Konsekwencją utraty niepodległości, kiedy zwątpiono w skuteczność protestu zbrojnego, stała się troska o zachowanie narodowości. Miało ono dokonać się przede wszystkim przez rozwój nauki. „Utrata autokracji albo samowładztwa nie jest przeszkodą do utrzymania i rozkrzewienia nauk narodu w obcą narodów bryłę przelanego" — mówił Albertrandi, pierwszy prezes Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk na jego inauguracyjnym posiedzeniu w dniu 13 listopada 1800 r. I twierdził dalej, że naród „słaby, a może i spętany", może stać obok potężnego, co „cały żelazem okryty", jeśli równe są pochodnie wiedzy, „jeśli równo rozpalone". Stąd właśnie brała się ambicja, by wykazać równość — a jeśli było to możliwe i większość — dorobku kulturalnego: tradycji historycznej zwycięzców i zwyciężonych. Aby zaborca, oprócz przemocy, nie miał żadnych innych argumentów.

Z dziedzictwa tej myśli wzięło się właściwie całe pisarstwo i dorobek naukowy Augusta Bielowskiego. Zwłaszcza po okresie jego osobistych doświadczeń i rozczarowań, kiedy po klęsce powstania listopadowego przekonał się, że niełatwo jest niepodległość wywalczyć, próbował pamięci o niepodległości wyuczyć.

August Bielowski, poeta, literat i historyk, urodził się 27 marca 1806 r. w Krechowicach na Pokuciu. Nauki szkolne pobierał naprzód w Stanisławowie, potem uczęszczał do gimnazjum w Buczaczu, po którego ukończeniu w roku 1828 wpisał się na Uniwersytet Lwowski, gdzie słuchał wykładów filozofii i prawa. Gdy wybuchło powstanie listopadowe, wstąpił do wojska Królestwa Polskiego i walczył pod Grochowem i Ostrołęką. Po upadku powstania wrócił do Lwowa na dalsze studia i tam stał się wkrótce duszą ruchu literackiego a zarazem narodowego. Ściągnąwszy na siebie uwagę władz austriackich, został w 1834 r. kreszłowany za spiskowanie. Po dwóch latach więzienia wypuszczony na wolność, podjął dalsze studia. W 1845 r. otrzymał posadę skryptora w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie, a w 1859 r. został dyrektorem Zakładu i redaktorem jego organu „Biblioteki Ossolińskich". W związku ze swymi pracami historyczno-wydawniczymi odbył w latach 1847—1857 szereg podróży naukowych: był w Wiedniu, Pradze, Dreźnie, Lipsku, Monachium, Petersburgu, Moskwie i Berlinie. Zmarł nagle we Lwowie w nocy z 11 na 12 października 1876 roku. Pogrzeb Bielowskiego był wielką manifestacją i hołdem dla wybitnych jego zasług naukowych, które podniósł w mowie pogrzebowej profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Józef Szujski.

Bielowski swymi pracami próbował budować archiwum narodowej pamięci. Wynikało to i z nakazu ówczesnego programu naukowego, i ze świadomości, że jego pokoleniu przypadło być świadkiem i aktorem wydarzeń szczególnie ważnych. Pietyzm dla dziejów rodził też przekonanie o uczestnictwie w historii i o jej tworzeniu. Dyktował potrzebę jej utrwalania. Zwłaszcza że zryw listopadowy w r. 1831, stracone złudzenie Wiosny Ludów i powstanie styczniowe dokonywały się, jeśli nie we wszystkim za sprawą, to całkowicie na oczach pokolenia Bielowskiego. Było więc o czym pisać. Tylko, że pisać o tym nie było wolno. Ale właśnie ów zakaz i poczucie narodowego zagrożenia mobilizowało, by tym gorliwiej krzątać się wokół spraw własnego języka, dziejów i kultury.

W twórczości Bielowskiego można wyróżnić dwa okresy: w pierwszym, młodzieńczym, był poetą i literatem, w drugim, po 1840 r., zwrócił się ku historii i oddał się badaniom naukowym w zakresie dziejów Polski, kładąc na tym polu olbrzymie zasługi. Wydał między innymi kronikę Wincentego Kadłubka, pisma Stanisława Żółkiewskiego i Szymona Szymonowica, pamiętniki Mikołaja Jemiołowskiego i Jana Jabłońskiego.

Jakby połączenie dwóch dziedzin jego twórczości, poetyckiej i naukowej, stanowi wiersz poświęcony autorowi „Sielanek" i współorganizatorowi Akademii Zamojskiej, Szymonowi Szymonowicowi. W wierszu tym Bielowski starał się ukazać istotę i główne znamiona twórczości Szymonowica, jego znaczenie dla narodu, dać niejako poetycką syntezę swego „bohatera".

„W domu drzewami uwieńczonym, we Lwowie,
Chował się młody Szymek, lube chłopię,
Wkrótce był w Polsce głośny co się zowie
A potem głośny w całej Europie.
Nie, że miał ojca rajcą, siostrę Burską;
Lecz że przedziwnie wiązał gęśl podgórską.

Nazwisku jego i sława u świata
Dotychczas dziwnym łamie się rozgwarem:
Mówią że złote składał poemata,
Był Simonidem, Katullem, Pindarem;
Ale na takie baje uszy zatul,
To Szymonowicz! nie Pindar, nie Katul.
Jego gęśl, to klucz wygięty żurawi,
Co popod niebo ku obcym narodom
Ciągnie, a pieśnią gniazdo swoje sławi
Aż z młodą wiosną znowu wróci do dom.

Oto drużyna uwija się prosta,
Żęcy: południa zbliżają się skwary;
Żniwiarka pieje pieśń; burczy starosta,
A słucha. Tam cię przerażają czary.
A tu weselne przynoszą kołacze,
Brzmi pieśń, muzyka gra, aż serce skacze!

Gwoli tym sielskim dźwiękom kłoni ucha
Mikołaj Wolski, Zamoyski, Sieniawski;
Wstaje radośny oklask, stąd otucha
Rośnie dla piewcy. Sam Jan czarnolaski
Z serca przyklasnął tak lubemu pieniu,
I kładł spokojnie głowę swą w Zwoleniu.
Dokoła wrogi padały na pował,
I kraj nie jednem pobrzmiewał weselem;
Ale się Szymon mocno zafrasował,
Aż się z przeroczym rozpłakał „Joelem".
Wydał grobowe dźwięki: jego rymy
Piały nieszczęścia, płacz i jęk Solimy".

W wierszach tego typu łatwo jest popaść w retoryczność i banalność. Nie uniknął tego i Bielowski. Tak więc nie wartość artystyczna wiersza, ale wzgląd na autora, który uczył historii i patriotyzmu, który uczył kochać wszystko to, co polskie, który sprawie tej poświęcił całe życie, wywołał potrzebę prezentacji najciekawszych fragmentów wiersza.

falsetem

W kleszczach bloków

PISZĘ te słowa 27 sierpnia w przerwie między jednym a drugim bloki em olimpijskim w telewizji. Okrutna skrzyneczka ze szklanym okienkiem dezorganizuje dziś życie milionom jeśli nie miliardowi mieszkańców kuli ziemskiej. Podobno właśnie miliard ludzi oglądało otwarcie igrzysk w Monachium. Gdyby więc wszyscy telewidzowie zgromadzili się obok siebie, mogliby sześciokrotnie opasać nasz glob, a gdyby jeden stanął na drugim wówczas wyniosłoby to pięciokrotnie więcej niż odległość z Ziemi do Księżyca. Kto chce, niech liczy, matematyka nigdy nie należała do grona moich serdecznych przyjaciółek. Stop — zbaczam na niebezpieczny temat.

Przed olimpiadą TV uraczyła nas jeszcze innym bloki em: festiwalem w Sopocie. Gdy ów felieton ujrzy światło dzienne, już się pewnie pojawią komentarze w naszej prasie, a więc mogę być posądzony o plagiat. Nie mniej muszę powiedzieć, że po dwóch wieczorach miałem najszczerszy zamiar zrezygnować z oglądania dalszego ciągu. Na szczęście, nie wytrzymałem i stało się bardzo dobrze. Dopiero dzień płytowy stanowił doskonałą strawę artystyczną. Szczerze współczułem jury, które miało do dyspozycji tylko jedno „Grand Prix du Disque" i po jednej drugiej i trzeciej nagrodzie. Sytuację starały się ratować Polskie Nagrania, uszczęśliwiając jeszcze trzy wytwórnie płytowe. Nad tym werdyktem można by dyskutować, ale gusty jurorów i widowni nie zawsze muszą być przecież jednakowe. Jako fotograf-amator zgadzam się jednak w pełni z fotoreporterami, którzy uhonorowali zapewne nie tylko nogi, ale i głos Miluski Vobornikovej „a także z władzami Sopotu, które — w całkowitej zgodzie z publicznością — nagrodziły Urszulę Sipińską, architekta polskiej piosenki. Koledzy po piórze, których jak zwykle w Sopocie nie brakowało, wybrali jako swego laureata Warrena Schatza. Dodaję i swój głos.

Tym razem nie było w Sopocie ani Ireny Dziedzic ani Lucjana Kydryńskiego. Program prezentowały inne miłe panie, znane nam z TV, oraz na zmianę Stanisław Zaczyk i Edmund Fetting. Stanisław Zaczyk ufundował ekstra nagrodę dla prezentera Edmunda Fettinga. Nie mogę stwierdzić, aby nasi wybitni aktorzy błyszczeli się przeniczyli w Operze Leśnej. Raczej można ich określić mianem dyrygentów. Gdyby zresztą z nas nie chciał dyrygować taka np. pani Bożena Walter! Dopiero w sytuacjach podbramkowych, a takich nie brakowało w czwartym dniu laureatów, pan Fetting starał się, często bezskutecznie, zapanować nad publicznością, która tego wieczoru, znając program olimpijski (samo otwarcie) łatwo nie kapitulowała. Zwłaszcza ostatnie rzędy, po których ślizgały się kamery operatorów, dość energicznie domagały się bisów. Chwilami wyglądało to na zabawę: kto kogo dłużej przetrzyma. Gwizdano nawet wówczas, gdy po ochrypłym już w czwartym dniu przedstawicielu holenderskiej wytwórni „Dureco", który po prostu nie miał możliwości powtórki, stanął na estradzie ulubieniec publiczności, Andrzej Dąbrowski ze swoim „Do zakochania jeden krok". Osobiście lubię tę piosenkę, ale z nią jest tak, jak ze słodyczami. Smakują — w miarę. Polskie Radio, a zwłaszcza nocne programy rozgłośni wojewódzkich, uczyniły wszystko, co w ich mocy, abym przekręcał gałkę usłyszawszy: a teraz zaśpiewa Henryk Dąbro... Tym razem wysłuchałem jednak piosenki do końca i nawet przy bisie fragment przetłumaczony na język rosyjski zabrzmiał świeżo i interesująco. Ciekawe, jakby po rosyjsku wyglądała piosenka „To był świat zupełnie w starym stylu". Ale może ktoś posądziłby Sipińską o gloryfikowanie caratu? Hmm...

Wszyscy dziękowali Henrykowi Debichowi i jego orkiestrze. On i jego zespół naprawdę się rzeczywiście ponad granicę ludzkiej wytrzymałości. Gdyby Henryk Debich zwarył się w środę rano i w poniedziałek zaraz po północy, mógłby dokładnie obserwować swej wysiłek. A organizatorzy imprezy powinni przyznawać specjalne premie. Np. za dekagram ubytku — 10 złotych. Przy stawce stuzłotowej — groziłoby im bankructwo.

Na tegoroczny festiwal „Kamena" nie wysłała swego specjalnego wysłannika. I dlatego nie przeczytacie:

„Zulę poznałem, kiedy stała przed wejściem do Opery Leśnej. Miała lekko kręcone włosy i uśmiech rozkapryszonego dziecka.

— Może mnie weźmiesz z sobą? — zapytała.

Miałem właśnie wolny bilet wstępu.

— Klawo — powiedziałem. — Będzie bombowo.

I było. Przez cały wieczór zaglądałem jej w oczy. Gdy mocniej rozbłysły reflektory, źrenice Zuli poszerzały się gwałtownie.

— Czy tak jest zawsze? — usiłowałem uzyskać odpowiedź.

— Tak — odrzekła i lekko oparła mi głowę na ramieniu.

Na scenie ktoś grał, ktoś śpiewał. Nie interesowało mnie to zbytnio. Myślałem o tej dziewczynie. Jest taka jak inne, a jednak..."

Może by jednak w przyszłym roku wybrać się do Sopotu? Nie ma to, jak być specjalnym wysłannikiem. Ilu ich było teraz? Co przeczytamy?

MAJ

Rys. A. Stok

minuta myślenia

Czytelnicze problemy

NA dobrą sprawę nie mamy opracowania poezji Gałczyńskiego. Z książki Stawara możemy się dowiedzieć pod jakim numerem stał dom na Mazowieckiej stanowiący własność przyszłego poety, Marta Wyka daje po prostu obraz sytuacji literackiej lat międzywojennych, Błoński („Poeci i inni") traktuje Gałczyńskiego jak wdzięczny model umożliwiający popis krytycznej wirtuozerii. Majakowski miał swojego Szkłowskiego, Gałczyński nie. Co więcej, w zbiorze szkiców Artura Sandauera „Liryka i logika" można wyczytać „O Gałczyńskim — tym razem... bez taryfy ulgowej". Jakby kiedykolwiek korzystał z taryfy ulgowej ten poeta, który przez ostatnie lata swego życia po prostu nie miał gdzie drukować. (Nie łagodzi niczego fakt, że stało się to na skutek zmowy przeciętności zaniepokojonej rosnącą popularnością wielkiego talentu). Czy to szczere i uzasadnione zafascynowanie, jakie temuż właśnie Sandauerowi podyktowało zwrot „Kochałem Gałczyńskiego" jako tytuł artykułu pośmiertnego było rezultatem taryfy ulgowej?

Stanowczo o Gałczyńskim niczego jeszcze nie napisano.

•

Kiedy więc temat „en bloc" wydaje się — tak sądzi czytelnik — zbyt obszerny, może celowe jest jego podjęcie fragmentaryczne, na przykład „Gałczyński na Mazurach". I taką książkę napisał Andrzej Drawicz. Skoro nie ma o Gałczyńskim pełnym, całkowitym, „integralnym" niech będzie na razie o mieszkańcu leśniczówki Pranie. Założenie słuszne, ale właśnie „przyczynkowo". I tak spodziewaliśmy się, że Drawicz skrzętnie omijając to wszystko, co jest „gałczyńskie w ogóle" przedstawi coś w rodzaju „topografii twórczości" tego poety w ciągu trzech ostatnich jesieni jego życia. Tak przecież sugeruje tytuł. Tymczasem nic takiego się nie stało. Drawicz opisuje poezję Gałczyńskiego w ogóle, tylko, że czyni to w oparciu o cytaty z wierszy powstałych na Mazurach. Opisuje dobrze i nawet niewątpliwie miał szczery zamiar do interpretacji tej poezji dorzucić interpretację „mazurską". Ale czy dorzucił? Nie dorzucił, ponieważ fenomen poezji nie realizuje się tak prosto. Nawet jeśli „pod tą gruszką stał Kościuszko", to żaden stąd wniosek dla kierunku dziejów. Rezultat? Nie potrzeba było jeździć na Mazury. Każdy wrażliwy interpretator w oparciu o tekst „Niobe", „Wita Stwosza", „Kroniki olsztyńskiej", „Pieśni", no niech jeszcze „Babci i wnuczka", czy „Magicznych świec" potrafi napisać „Gałczyńskiego na Mazurach". Tych kilka szczegółów topograficznych jest do osiągnięcia w Warszawie.

Powtarzam: żadna to wina Drawicza, że nie wykonał zadania niewykonalnego. Ale co się dzieje w „Poezji"? Pod piórem Jadwigi Cierniak ani słowa o tym nieuniknionym ześlizgu kompozycyjnym książki. Jest ona niebywale źródłową, cenną i niezastąpioną dokumentacją mazurskiego okresu twórczości Gałczyńskiego. W ogóle bez niej nie zrozumielibyśmy ani jednej strofy z „Kroniki olsztyńskiej". A napisane jest to stylem dziennicza lektury szkolnej. Oto próbka: „Każdy z rozdziałów książki opatrzony jest mottem stanowiącym fragment wiersza poety, a będącym kwintesencją rozdziału. Rozdziały poprzedzone są krótkim streszczeniem zawartej w nich treści. Pierwszy przedstawia okres poprzedzający pobyt Gałczyńskiego na Mazurach a więc (...)". Przypomina się sam Gałczyński z „Ars poetica". „Stanowi on rodzaj zeszyciku (format 18x12 cm) kupionego w Nowym Jorku u G. Schirmera, zeszyciku skromnego, oprawionego w tekturowe kompaturki kratkowane zielonymi, prostymi deseniami."

•

Tenże sam (?) numer „Poezji" zawiera list Stanisława Skonecznego. Przeszło dwie strony nonparelu o sprawie obchodzącej wyłącznie Stanisława Skonecznego w warunkach, kiedy na druk wierszy niektórzy poeci ze względu na brak miejsca czekają latami. Co właśnie odnośnie siebie chce wmówić niezorientowanemu czytelnikowi adresat — sam się sypiąc?

O co mu chodzi? Że go Matuszewski nie drukuje w „Czytelniku". Ale kto to się skarży? Kto aż tak usilnie musi zdobywać przychylność wydawców? Ktoś, kto — jak sam podaje, ma wydrukowanych... 21 książek poetyckich, a owego nieżyczliwego „Czytelnika" natychmiast kontruje Ludową Spółdzielnią Wydawniczą czy PIW-em. Sierotka.

Poza tym Skoneczny pisze: „Matuszewski, który mi zwrócił „Objawienia" z motywacją, iż ma plan wydawniczy wypełniony całkowicie do 1973 roku zmieścił „Objawienia" nawet nie w planie roku 1971, jak mi podał w liście z 17.II.1969 roku, lecz w zapełnionym, jak orzekł, do cna planie wydawniczym na rok 1970, w którym to roku rzeczywiście „Objawienia" się ukazały". W szloch uderzcie czytelnicy nad krzywdą biednego autora: zamiast w roku 1974 wydano mu te „Objawienia" w roku 1970, czyli w rok po złożeniu maszynopisu. Sierotka do kwadratu. A miesięcznik „Poezja" w następnym numerze natychmiast krzywdę naprawia: trzy stronice nowych objawień ukazują się zachwyconym oczom czytelnika.

I jeszcze jedno: konia z rzędem plus zbiorowe wydanie temu, kto w przytoczonych przez Skonecznego listach Matuszewskiego ujrzy choć jeden nietaktowny czy apodyktyczny zwrot. Osobiście nie znam Matuszewskiego i wcale nie piszę się do grona jego anonimowych popleczników. Prosiłbym tylko z nieporozumienia między dwoma panami nie robić sprawy publicznej, a tym bardziej poetyckiej. Płacąc 10 złotych za „Poezję" chcę czytać wiersze, a nie kronikę skandali towarzyskich.

Ijon

Rys. A. Stok

Noty i notki

„Lekcja pornografii, czyli jak stajemy się światowi" — to tytuł artykułu Wandy Falkowskiej w 35 n-rze „Polityki". Autorka opisuje pewien ekskluzywny dom schadzek: „Filmowcy przeplatali się tam z satyrykami, adwokatami, dziennikarzami i właścicielami warsztatów... Wzywani jednak kolejno jako świadkowie przedstawiciele prywatnej inicjatywy i rzemiosła (reprezentantów świata artystycznego ani wolnych zawodów nie wzywano, szanując ich czas) w ogniu krzyżowych pytań zapominali o dyskrecji". Szanuje się czas „reprezentantów świata artystycznego" i „wolnych zawodów", a nie docenia czasu rzemieślników... I później dziwimy się, że na usługi musimy narzekać!

*

„Nadodrze" propaguje epitafia Stanisława Kamińskiego (obcy w stosunku do naszego Ireneusza). Epitafium arbitra piłkarskiego (modne z uwagi na Monachium) brzmi tak: „Tu pod darnią leży/ sprawiedliwość wszystka/. Umarła na nieżyt/ długotrwały gwizdka". A oto epitafium referenta: „Żył po linii skupu żywca/i uchodził za szczęśliwca". My też układamy rymy: „Gdy się czyta takie epitafia to człowieka szlag trafia". Na właściwy rytm brak nam czasu. Szczęśliwcy, którzy go mają w nadmiarze!

*

Z radością spostrzegliśmy, że naczelny redaktor „Barw" w miejscu swych stałych artykułów wstępnych na pierwszej stronie miesięcznika zaczyna drukować fragmenty powieści Henryka Gaworskiego, Heniu (jesteśmy na ty), gratulacje!

*

Coraz jaśniej pisze nasza młódź: „Zebrane i usystematyzowane nieprawidłowości, związane z funkcjonowaniem w życiu kraju młodej inteligencji, poddane są następnie próbie wielostronnej analizy, której motywem przewodnim nie jest — jak to się dzieje w większości uległych myśleniu magicznemu publikacji prasowych — moralne potępienie danej nieprawidłowości, lecz chęć odsłonięcia uwarunkowań". Odsłaniamy autora: **Bogusław S. Kunda. Ciąg dalszy w 17/18 n-rze bardzo sympatycznego (bez żartów!) „Studenta".**

*

Proponujemy, aby kierownik Wydziału Handlu Prezydium MRN zamieszkał przez pewien czas w okolicy skrzyżowania ul. Kunickiego z ul. Zemborzycką i korzystał (sam osobiście, nie jego żona) z usług tutejszych sklepów spożywczych. My już domyślamy się dlaczego tak blisko zlokalizowano szpital w Abramowicach! I dlaczego tam tylu pacjentów!

MAJ

Odpowiedzi redakcji

J. S. Dalborowice. Nie można tak: „Boję się gwiazd dalekich nieskończoności/ ich zwartych kolumn grozy milczenia/ a myśl o wszechświata wieczności/ w niczość mnie przemienia". Przede wszystkim dlatego, że „myśl o wszechświata wieczności" i dalsze tego rodzaju rewelacje znajdujące się w wierszu niczego nie przynoszą. To są nie słowa, ale sztony. Tak zużyte, że czytelnik z nimi nie łączy żadnych treści. Po wtóre rymy gramatyczne w tych wierszach, które Pan rymuje, odrażają łatwością. No a wreszcie niech się Pan zdecyduje co do rodzaju poetyki. Młodopolszczyzny nie proponujemy, ale dylemat między regularną strofą, a utworem swobodnym formalnie musi Pan sam za siebie rozstrzygnąć.

„Kolejarz 31" Warszawa. Nie możemy powiedzieć, że nadesłane utwory nie zwracają na siebie uwagi. Owszem, posiadają coś, co można by nazwać dynamiką, energią, pasją. Ale jak na nasz gust — jest to dynamika na usługach „filozoficznej publicystyki", a nie poezji. Nie chcemy przedwcześnie niczego proponować, bo może się okazać, że ten kierunek właśnie Panu odpowiada i przyniesie najwartościowsze osiągnięcia. Jeśli na podstawie tak nikłej próbki materiału można coś sądzić, wydaje się, że mało do wiersza wprowadza Pan elementów ściśle lirycznych.

K. C. Bydgoszcz. Niestety, i tym razem nie zostaliśmy przekonani humorem pańskich fraszek. W niektórych wypadkach są to po prostu oczywiste stwierdzenia.

J. C. Biłgoraj. Ma Pan skłonności do łatwej ilustracyjności. Np. wiersz „Cezar Tyberiusz" wyinkrustował Pan taką masą historycznokulturowej ornamentyki, że wygląda to jak wyciąg z encyklopedii. Kogo i czego tam nie ma! I Dante i Petrarka i Luwr i Kapitol i rzymska wilczyca i vive le roi. Tak samo w wierszu o Chopinie koniecznie musi występować George Sand i Solange. Oczywiście nie są to manieryzmy, których nie można się wyzbyć. Po prostu więcej do wiersza wkładać własnych przeżyć, a mniej literackiego sztafażu, który jest tylko balastem.

K. C. Puławy. W Pańskich wierszach widać miedość. W tym wypadku czytaj: niecierpliwość, zachłanność. Bierze pan do wiersza za dużo materiału i nie daje Pan sobie rady. Jest duże tempo przepływu obrazów, ale za tym tempem sprawność kształtowania wyrazu nie nadąża. Ale można się jeszcze nie martwić. Przypuszczalnie jest to wada młodości, a z młodości się przecież wyrasta.

W. W. Warszawa — Koło. Przyznamy się do słabostki: opowieść o Annie przeczytaliśmy tylko dlatego, że została „zareklamowana" zapewnieniem o wyjątkowości, a zarazem autentyczności przedstawionych wypadków. Jednak — jak można było przewidzieć — zawiedliśmy się. Wydarzenie jest raczej banalne, a szata literacka utworu poniżej nawet tej oceny. Przypuszczalnie chodziło Panu o to, by znaleźć powiernicze ucho dla pańskich niepowodzeń miłosnych. Czyli cel został osiągnięty, tekst wędruje do kosza.

B. Z.-R. Ursus. Pociąga Panią „mocna" proza. Dlatego w każdym opowiadaniu ktoś ginie. Ale nie towarzyszy temu należyta obróbka literacka. Jest wiele obszarów tekstu nieciekawych, bez artystycznego wyrazu, nijakich. W ten sposób mimo pozornego dynamizmu rzecz nie trzyma w czytaniu, czytelnik chce jak najprędzej dotrzeć do końca. Wniosek: więcej selekcji, nie wszystko, co się nawija pod pióro użytkować pisarsko. Dyscyplina jest tym, co przede wszystkim wysuwa się dla Pani jako wskazanie.

Z. G. Tarnobrzeg. Nie możemy publikować tak długich rzeczy. Nie posiadamy na to miejsca, nie jesteśmy pismem wyłącznie poetyckim, a przede wszystkim — minął już czas poematów romantycznych, które dosięgały rozmiarów powieści. Kondensacja słowa to jeden z pierwszych warunków obowiązujących współczesnego poetę. Proszę się rozglądnąć po jakichkolwiek szpaltach literackich. Ale właśnie znajomość współczesnej poezji wygląda u Pana nie najlepiej.

M. M. Piaseczno. Przypuszczalnie coś z tego pójdzie, ale radzimy trochę cierpliwości. To nie z naszego powodu; mamy tylu piszących wiersze. W każdym razie wiemy, co to jest debiut dla młodego autora i postaramy się to pragnienie najrychlej spełnić.

POSTE RESTANTE

SMAK MIŁOŚCI i ŁEZ

Tego jeszcze nie było w naszym niezależnym organie. Serial, bo na seriale dziś moda. Powieść, którą po skróceniu drukujemy w odcinkach, wygląda na autentyczny folklor młodzieżowy, należy bowiem podejrzewać raczej zbiorowy akt twórczy, a tekst krąży w ręcznych odpisach głównie między dziewczętami w wieku szkolnym. Tytuł dzieła — „Smak miłości i łez". Dopisek — „Autor nieznany, życie współczesne". W czasach, kiedy oficjalna młoda proza pławi się w okrutnościach perwersyjnej miłości, nasza młódź kultywuje cudownie liryczne i serdeczne wzorce uczucia łagodnego, prostego i nieśmiertelnego, acz nie bez srogich przeciwności losu.

Nie żyje już bohaterka wielkiej epopei miłosnej — Nina Grodzka, która zginęła tragicznie. Partner jej miłosnych uniesień, Mariusz, od dawna jest księdzem. Nie żyje także jej mąż — Zbigniew. Potomstwo Niny i Zbigniewa — Nina i Mariusz — zostało oddane do Domu Dziecka. Właśnie dzieci przyjechały na kolonie letnie do Miłowa, gdzie na cmentarzu pochowana jest ich matka, o czym one jednak nie wiedzą.

(12)

Pewnego razu gromadka dzieci, w której znajdował się Mariusz i Nina, zapuściła się na tutejszy cmentarz. Poruszali się po alejach cmentarza, ciekawie zapuszczając wzrok na ciekawe dla nich mogiły. Zrobili kilka kroków w kierunku najbliższych mogił. W kilka minut później gromadka chodziła po cmentarzu, nie zwracając uwagi na rosnące na mogiłach kwiaty. Dziewczyny jednak zachwycały się niektórymi i brały je do ręki, bądź też zrywały. Chłopcy częściej interesowali się starymi, skrzypiącymi krzyżami, zaniedbanymi mogiłami.

I tak zawędrowali dość daleko od bramy cmentarza. Gdy nagle Mariusz krzyknął:

— Nino, chodź zobacz, jaka ładna pani!

Na to zawołanie zbiegły się wszystkie dzieci, a Mariusz pokazywał paluszkiem zdjęcie młodej, śmiejącej się kobiety, a właściwie dziewczyny. Kilkoro dzieci stanęło na zarośniętej trawą i zgniłymi kwiatami mogile, przyglądając się i nie rozumiejąc, co znaczy to zdjęcie. Niżej widniały kształty liter, lecz żadne z nich nie umiało czytać. Mały Januszek, błyskając zawsze inteligencją, włożył do buzi paluszek, podniósł do góry oczy i powiedział:

— To musi być coś ciekawego.

— Chyba tak — zapiszczała cichutko Nina. I od tej pory stała bliżej pomnika, wpatrując się na twarz zdjęcia. Patrzyła na rozpuszczone na ramionach, długie, jasne włosy. Myślała, że kiedyś, jak ona urośnie, będzie również miała takie same włosy, jak ta pani na zdjęciu. Patrzyła na jej oczy, porównując je do wielkich kasztanów. I teraz zasmuciła się, bo przypomniała sobie, że ona ma właśnie takie same olbrzymie oczy jak kasztany. Teraz patrzyła na tak ogromne oczy i nie widziała w nich nic brzydkiego.

Biedne dziecko nie wiedziało, że właśnie te olbrzymie oczy były ozdobą kobiety, która widniała na zdjęciu. Patrzyła na śmiejące się oczy i wydawało się jej, że ta pani śmieje się inaczej w tej chwili, gdy ona patrzy na nią, że ta pani śmieje się tylko do niej — ciepło i serdecznie. Coś ciągnęło ją i na chwilę nie mogła oderwać wzroku od fotografii.

Nie wiedziała nawet, że cała gromada dzieci znalazła inne punkty zainteresowania. Obok Niny stał tylko Mariusz. Ten również wyobrażał sobie, że ta pani śmieje się do niego i jest bardzo zadowolona z tego, że on właśnie odnalazł ją tutaj.

— Patrz, Nino, jak ta pani patrzy na mnie — powiedział.

— A właśnie, że na mnie — odrzekła. — No przyjrzyj się, Mariusz, dobrze.

— Oj, Nino, zobacz, zobacz...

— Widzę, widzę, pani śmieje się jeszcze bardziej.

— Wiesz co, Nino, przyjdziemy tutaj jeszcze jutro. Zobaczymy czy również pani będzie taka wesoła. A teraz chodź, idziemy.

Rozejrzeli się dookoła, nie było nikogo znajomego, a jednak nie bali się. Byli nawet szczęśliwsi niż kiedykolwiek. Znaleźli „panią", która była ich największym przyjacielem.

Od tego dnia Nina i Mariusz długie godziny przesiadywali na cmentarzu, właśnie na tej starej, zaniedbanej mogile. Na cmentarz również przychodził od trzech dni ksiądz, lecz zawsze tylko chodził w jedną i drugą stronę alei. Dzieci wyobrażały sobie, że to co on czyta, to może być jakaś ładna bajeczka, której oni nie znają.

— Nino czy można zapytać, co on tak czyta? — powiedział Mariusz.

— Zapytaj.

— No to zapytam. Może on umie jakieś ładne bajeczki, których nie znamy?...

Oboje razem wychylili się zza pomnika.

(Cdn.)